



ODGŁOSY

▼ OD ESTETYZMU DO REALIZMU — Artur Sandauer o Jarosławie Iwaszkiewiczu ▼ AKCJA PAULUS — część druga ▼ USŁUGI, USŁUGI... — czy ułatwiają nam życie? ▼ OKUPOWANEJ WARSZAWY DZIEŃ POWSZEDNI ▼ POCIĄGI POD SPECJALNYM NADZOREM ▼ WIĘZIENIE — Georges Simenon ▼ LISTY ▼ POLEMIKI ▼ RECENZJE ▼ FELIETONY ▼ REPORTAŻE ▼ SEX W LITERATURZE ▼



JULIAN TUWIM
W KARYKATURZE IBISA-GRATKOWSKIEGO

Czytaj na str. 2

JÓZEF POTĘGA

ŚWIĘTE KROWY i RENEWAL SPIRITUAL

(KORESPONDENCJA WŁASNA)

„Widziałeś święte krowy?” — pytają mnie znajomi. Oczywiście widziałem. W Indiach bowiem wszystkie krowy są święte, a także wiele innych zwierząt. Dlaczego jednak krowa jest — jakby rzecz — bardziej święta? Matka, każda matka, także ludzka jest w tym kraju otoczona nimbem świętości. Krowa daje mleko, które pozwala wykarmić dzieci, także ludzkie. Jest więc matką — karmicielką... Byk — jej mąż — jest zwierzęciem świętym ponieważ jeździł na nim jeden z najgłośniejszych bogów hinduskich — Sziwa, zaś na krowie jego żona Parwati. Byk jest wprawdzie symbolem głupoty i uporu, ale to nie ma praktycznie żadnego znaczenia.

Krowa w Indiach należy do rodziny. Jeśli się zestarzeje, właściciele oddają ją do specjalnego schroniska dla starych krow, w których żyją swoimi dniami. Oczywiście właściciele płacą za jej utrzymanie aż do śmierci. Jeśli jednak właściciel jest biedny, albo jeżeli przychodzi kłeska suszy i głodu? Wówczas krowy po prostu wypuszczają się na ulicę — jeśli to miasto — na pole, jeżeli to na wsi. I krowina taka, w niczym nie przypominająca naszej pocziwej krasuli, bowiem jest mała, bardzo szczupła, czasem z charakterystycznym garbem nad łopatkami wędruje przed siebie, żera lupiny od bananów lub pomarańcz, obskubuje nędzną trawkę, pożywia się papierem rzuconym przez niechlujnego turystę, albo nawet torbką z folią... Wszędzie można zobaczyć wędrujące krowy, wsadzące pyski do straganów i odpędzane przez sprzedawców, albo też kiedy stoją kontemplując lub drzemając.

Wszystkie są bardzo czyste. Na ich płowej, czarnej albo brązowej sierści nie ma śladu nawozu. Jest bowiem zasługą wobec bóstw zadbać o czystość krowy, nawet jeżeli nie jest nią czystą własnością.

Powiadają, także i u nas — tacy którzy znają odpowiedź na każde pytanie i wszystko wiedzą lepiej — „ile to się mięsa marnuje w tym kraju, gdzie jeszcze głód jest zjawiskiem powszechnym. Gdyby tak zabie te wszystkie waleśające się, przeskakujące w ruchu ulicznym, bezproduktywne krowy, można by nakarmić głodnych uratować od śmierci wiele kobiet i dzieci...”

Nie trzeba spędzić w Indiach całego życia, aby móc łatwo powiedzieć, że takie przeświadczenie jest najzupełniej fałszywe. Przypomnijmy sobie bowiem znaną przypowieść o kurze znoszącej złote jajka. Któż chciałby zarządzić taką kurę?

Krowa w Indiach, także ta wędrująca ulicą czy drogą, tylko na pozór jest zwierzęciem nieproduktywnym, niepotrzebnym — „zmarnowaną wolowiną”. Wyjdźmy na ulicę stolicy Indii, podobno już trzy i pół miliona Delhi. Zatrzymajmy w bocznej uliczce, w zaułku starego miasta, za glinianą, białoną murką, na wydeptanej placu, między ciasne skupiska straganów. Wieczorem, gdy dla nas jeszcze jest tu dość ciepło, w grudniu bowiem temperatura o tej porze dnia

jeszcze trzyma się około piętnastu stopni powyżej zera — ubodzy Hindusi — ludzie bardzo szczupli, z wyraźnymi oznakami chronicznego niedożywienia, otulają się każdym posiadanym kawałkiem derki, nieco bogatsi zakładają wełniane szale na głowy, jeszcze bogatsi wciągają wełniane rekawice i czapki z nausznikami. Ci ludzie po prostu marzną.

Idźmy ulicami. Zapada zmierzch. Między dwoma ceglami żarzy się mała kłębka ognia, ulatuje w górę strużka błękitnego dymu. Wokół przykuć nęły w charakterystycznych pozach trzy owinięte szarymi szmatami postacie. W małym glinianym garnuszku warzy się wieczorny posiłek. Kobieta miesza zawartość czymś o czym nie wiem czy jest łyżeczką, czy tylko kawałkiem patyka. Pod ścianą „Central Bank of India” usiadł sprzedawca fiastek, inny stoi przy niewielkim, białym jak skleconym kramiku. Przed każdym z nich stoi orzeszek w łupinie. Pośrodku glinianego garnuszka, a w nim żarzy się, rozkładając aromatyczną woń... Właśnie, co

Dalszy ciąg na str. 6

STEFAN KOTLAREK

POL-CON POLSKI KONTYNGENT WOJSKOWY

(KORESPONDENCJA
Z BLISKIEGO WSCHODU)

Pod datą 16 listopada 1973 roku, kronikarz jednostki zanotował: „Dzisiaj w godzinach popołudniowych na lotnisku w Kairze wylądowała pierwsza grupa żołnierzy specjalnej jednostki Wojska Polskiego, która uczestniczyć będzie w Doraźnych Siłach Zbrojnych ONZ na Bliskim Wschodzie”. Odwracam następną kartkę: „Opuszcza kraj kolejna grupa żołnierzy, uczestniczących w Doraźnych Siłach Zbrojnych ONZ. Wraz z nią odleciał dowódca jednostki — płk dypl. Jerzy Jarosz”.

Dalszy ciąg na str. 2

Teresa podnosi głowę, z góry dobiega tutaj echo czyichś kroków i rozmowy prowadzonej podniesionym tonem, jakby ktoś w pokoju na piętrze chodził szybko w tę i z powrotem i sprzątał się z kims, kogo nie chce dopuścić do głosu. Teresa zatrzymuje Henryka na parterze: — Zaczekaj, pójdę uprzedzić ojczyma, że to ty. Myślę pewnie, że to ktoś obcy i gotów jeszcze...

Odbiega po stopniach w górę; po chwili Henryk słyszy jej stłumione słowa: — Ależ ojcze, to nikt obcy. To tylko Henryk, twój bratanek, Henryk Richter, nie pamiętasz go? Był tu kiedyś na wakacjach, jakieś pięć, sześć lat temu, tak mały, niewyrośnięty; miał wtedy czternaście lat. Zobaczysz, jaki się teraz z niego drań zrobił.

Henryk ogląda się za siebie, ma ochotę uciec stąd, ale Teresa już woła z góry, Henryku, chodź tutaj, potem już na piętrze szepce mu do ucha:

— Nie przejmuj się, on na starość trochę zdziwaczał, czasem rozmawia ze sobą; ja zresztą też nieraz gadam do siebie. Samotność, wiesz. — Aha, chciała-bym cię jeszcze uprzedzić, nie wdrygnij się, gdy poda ci rękę; ma fatalnie poharataną dłoń, ustrzelony palec, to nie jest przyjemne w dotknięciu.

Po chwili Henryk staje przed stryjem. I nie wie dlaczego — czy dlatego, że sam urósł, czy po prostu na skutek upływu czasu zacieraającego w pamięci zdarzenia i postaci — stryj wydaje mu się teraz o wiele mniejszy. Nie żeby był tylko niższy, jest po prostu mniejszy we wszystkich wymiarach. Henryk, patrząc na jego szkliste, podobne torbami oczy zapadnięte w zmarszczone brzośnie, jest niedaleki myśl, że w mózgu tego człowieka żarzy się tłumiony ogień; ten ogień trawi go i będzie trawił, dopóki stryj Jakub nie stanie się drobny i nikiły, jak gliniany pos

zątek. Pewnego dnia ten ogień, utajony w jego głowie, wybuchnie, ogarnie go płomieniem i z glinianego posątku zostanie tylko garść popiołu.

Odzywa się niepewnie:

— To ja, nie poznaje mnie stryj?

Widoczna od pierwszej chwili w oczach Jakuba Richtera nieufność nie przegasa, gorzej — teraz oprócz niej pojawia się czujność. Stryj mówi sucho, drażliwie, nie wyciągając wcale ręki, aby się przywitać:

WANDA KARCZEWSKA

MIECZAK

— Dlaczego miałbym cię nie poznać? Co chciałeś przez to powiedzieć? Jestem, chwala Bogu, przy zdrowych zmysłach.

— Ależ ojcze — głos Teresy jest łagodny, spokojny — ja sama nie poznałam Henryka, był wtedy prawie dzieckiem, śledził mi do ramion, a teraz...

Henryk stoi strapiiony, ogłada się na kobietę, ma do niej żal, że nie uprzedziła go o nieco większych defektach umysłu stryja, nie dała się to określić słowem „zdziwaczalność”. I nagle człowiek ten odzywa się w zaskakująco normalny sposób:

— Na długo przyjechałeś? Co cię tu sprowadza?

Henryk rzuca skwapliwie:

— Nie, na dzień jeden tylko, właściwie — na parę godzin wpadłem.

Dostrzega wyraźną ulgę na twarzy stryja, który teraz mówi spokojnie, z widocznym niemal zadowoleniem:

— No, to daj nam, Tereso, coś do zjedzenia. Śniadanie. Zjemy razem. On pewnie głodny. Ja też już od dawna nie śpię i chętnie bym coś wrzucił do żołądka.

Stryj pokazuje Henrykowi krzesło i stoi w głębi pokoju, stojące pod oknem

— Nie, na dzień jeden tylko, właściwie — na parę godzin wpadłem.

Dostrzega wyraźną ulgę na twarzy stryja, który teraz mówi spokojnie, z widocznym niemal zadowoleniem:

— No, to daj nam, Tereso, coś do zjedzenia. Śniadanie. Zjemy razem. On pewnie głodny. Ja też już od dawna nie śpię i chętnie bym coś wrzucił do żołądka.

Stryj pokazuje Henrykowi krzesło i stoi w głębi pokoju, stojące pod oknem

— Nie, na dzień jeden tylko, właściwie — na parę godzin wpadłem.

Dostrzega wyraźną ulgę na twarzy stryja, który teraz mówi spokojnie, z widocznym niemal zadowoleniem:

— No, to daj nam, Tereso, coś do zjedzenia. Śniadanie. Zjemy razem. On pewnie głodny. Ja też już od dawna nie śpię i chętnie bym coś wrzucił do żołądka.

Stryj pokazuje Henrykowi krzesło i stoi w głębi pokoju, stojące pod oknem

— Nie, na dzień jeden tylko, właściwie — na parę godzin wpadłem.

Dostrzega wyraźną ulgę na twarzy stryja, który teraz mówi spokojnie, z widocznym niemal zadowoleniem:

— No, to daj nam, Tereso, coś do zjedzenia. Śniadanie. Zjemy razem. On pewnie głodny. Ja też już od dawna nie śpię i chętnie bym coś wrzucił do żołądka.

Stryj pokazuje Henrykowi krzesło i stoi w głębi pokoju, stojące pod oknem

— Nie, na dzień jeden tylko, właściwie — na parę godzin wpadłem.

Dostrzega wyraźną ulgę na twarzy stryja, który teraz mówi spokojnie, z widocznym niemal zadowoleniem:

— No, to daj nam, Tereso, coś do zjedzenia. Śniadanie. Zjemy razem. On pewnie głodny. Ja też już od dawna nie śpię i chętnie bym coś wrzucił do żołądka.

ojczyma nie robiła, albo może — jakby chciała zaakcentować, że przechodzi nad nimi do porządku, nie zauważając szorstkiego tonu Starego, jak się nie zauważa braku grzeczności u chorego, albo chce się rozbroić jego chorobliwe kaprysy swoją oświeconą uprzejmością. Dziwczyną podchodzi do kredensu, wyciąga kolorową serwetę, pogaduje.

— Podamy na tę okoliczność także trochę naszej doskonałej nalewki, uczyni powrót marnotrawnego bratanka, potem on nam opowie, co się z nim przez te lata działo, a później my pokazemy nasze gospodarstwo, wiesz, my tu się bawimy w takie małe gospodarstwo, uprawiamy w oranżeriach wspaniałe kwiaty...

Brzmiał to wszystko w uszach Henryka, jakby Teresa opowiadała dzieciom bajkę, byłoby tylko nie były niespokojne, albo jak dobrze wyszkolona pielęgniarka, wchodząc rano na salę i odsłaniając okna, wmaśnia choremu dobre samopoczucie wyuczonym sposobem: dzień dobry, jak się spało, pewnie dobrze, dziś będziemy mieli piękny dzień, świeci słoneczko...

Stryj siedzi za stołem, tak jakos półbokiem, patrzy czujnie spod postrzępionych brwi i naraz zadaje pytanie:

— Co słychać u was w domu?

Brzmiał to badawczo, badawczy jest także teraz wzrok stryja, który, zdaje się, chce sprawdzić, czy przybył, jest naprawdę bratankiem, czy może tylko podszycia się pod niego.

— Naniie wiem — odpowiada pytany — Jaa...

— Jak to? Syn nie wie, co się dzieje w domu rodziców?

— Jaa właściwie — Henryk jaka się zdetonowany — ja właściwie nie mam domu...

Dalszy ciąg na str. 8

POL-CON

POLSKI KONTYNGENT WOJSKOWY NA BLISKIM WSCHODZIE

Dalszy ciąg ze str. 1

23.XI. zapisano: „Oddziały Doraźnych Sił Zbrojnych, w tym żołnierzy jednostki polskiej, rozmieszczone na przedmieściach Kairu, na rozległych terenach hipodromu i pola golfowego. W zgrupowaniu rozpoczęto intensywne prace przy urządzaniu obozowiska. Wszystkie jednostki otrzymały polecenie, aby w jak najkrótszym czasie osiągnąć pełną gotowość do podjęcia swych zasadniczych obowiązków. Niemniej natężenie prac panuje w obozach Kanadyjczyków, Szwedów i Finów, którzy są najbliższymi sąsiadami Polaków”.

Oto kolejny meldunek: „Powszechnym uznaniem cieszy się bardzo dobre wyposażenie naszych żołnierzy w sprzęt kwaterymistrzowski, m. in. nowoczesne i funkcjonalne namioty oraz umundurowanie...”.

Wąsaty soldiers z „Can-con”, czyli żołnierzy z kanadyjskiej jednostki („Canadian contingents”), z którym wymienili „Sporty” na „Stuyvesant” zwierzył mi się, że polski żołnierz... spalił mu mundur. Nie ma jednak do niego pretensji, bo sam był sobie winien. Po prostu, gdy Polak pochwalił się, że ubrany jest w mundur niepalny, Kanadyjczyk odrzekł na to, że on też. — Ano, to spróbujmy — powiedział Polak i przytknął żarzącego się papierosa do kanadyjskiego polowego uniformu. Wypaliła się oczywiście ogromna dziura, Polski mundur natomiast, poddany przez Kanadyjczyka próbie ognia — nie zmienił nawet koloru. Przychodzili inni, oglądali, żgał Polaka zapalonymi papierosami wciąż w to samo miejsce i... bez skutku. Była to ogromna sensacja w całym obozie UNEF w Heliopolis, sięgnęła ona nawet do kairskich sfer handlowych. Syn właściciela sklepu w dzielnicy Muski (każe na siebie mówić Michał, ale naprawdę to ma na imię Mohammed), ciągle nagabuje naszych żołnierzy. Gniotąc materiał munduru w rękach, pyta nieodmiennie: — Nie pali, nie pali? A potem pada zwykłe propozycja: — Przedaj! Stąd więc zapiszek w kronice: „Uznanie i ciesz się polskie umundurowanie...”.

Dwudziestego szóstego listopada, wczesnym rankiem, wciągnięto na maszt białą flagę Organizacji Narodów Zjednoczonych. Wszyscy żołnierze otrzymali białe berety oraz czapki polowe z emblematem United Nations. Wizytę żołnierem polskim na terenie ich bazy, która nazwała się po angielsku „Shams”, złożył dowódca Doraźnych Sił Zbrojnych ONZ na Bliskim Wschodzie, gen. por. Ennio Sillasvuo. Po złożeniu raportu przez dowódcę jednostki pik. dypl. Jerzego Jarosza, gen. Sillasvuo wygłosił przemówienie, w którym stwierdził, że Polacy są dobrymi reprezentantami najlepszych tradycji Wojska Polskiego, że cechuje ich duża sprawność organizacyjna, doskonałe wykształcenie specjalistyczne, wzorowa postawa. Kontyngentowi polskiemu — oświadczył generał — dowództwo Doraźnych Sił ONZ przydzieliło bardzo poważne zadania, obejmujące m. in. działalność służby zdrowia, transportu i napraw sprzętu oraz prac inżynierii wojennej.

„Pol-con” (kontyngent polski), wytypowany został również — obok Kanadyjczyków — do służby zabezpieczającej porządek na terenie jednostek Doraźnych Sił Zbrojnych w Heliopolis. Tak więc role zostały podzielone.

Przedtem jednak generał Sillasvuo urządził sobie wycieczkę po polskim obozie. Oglądał szeregi równiutko rozbitych namiotów mieszkalnych, stołówki, kuchnie, kantyny, świetlice, obejrzał sobie rejon służby zdrowia, zaplecze gospodarcze, zajrzał do łaźni polowej i rozgłosił, złożył wizytę służbie transportowej. Chodził uliczkami, na które lano ropę, aby utwardzić pustyński piasek, zaglądał do namiotów żołnierskich. Wieczorem oglądał odтворzoną w magnetowidzie, przyslaną z Krakowa audycję pt. „Spotkanie z balladą”. Na drugi dzień zrobił odprawę dowódców wszystkich kontyngentów w „Polish camp”, omówił najbliższe zadania dla jednostek, a potem zaprosił na wycieczkę po polskim gospodarstwie. Efekt wycieczki było już nie generalne sprzątanie w sąsiednich obozach, ale urządzanie obozów od nowa. W czasie, gdy Szwedzi, Finowie czy Austriacy przestawiali namioty, porządkowali

parki transportowe, utwardzali obozowe uliczki i dojazdy — Polacy oglądali piramidy Cheopsa i Chefrena.

Oczywiście, w czasie wolnym od służby. Codziennie przecież wyjeżdżają długie kolumny „Starów” z żywnością i sprzętem wojskowym, cystern z wodą, ropą i benzyną do Suez i Ismaili, przeznaczoną dla kontyngentów ONZ, wykonujących w tych miastach swoje zadania. Trudna i nuciąca to droga, żądnej zieleni, na której mogłyby odpocząć oczy kierowców. Wstęga asfaltowej szosy, w wielu miejscach zombardowanej i zniszczonej, wijąca się wśród bezbrzeżnej piaszczysto-skalnej pustyni, umyka do tyłu z szybkością 40–50 kilometrów na godzinę. Pierwsze jazdy na 101 kilometr były dla Polaków atrakcją, pierwszym kontaktem z Wschodnio-Egipską Pustynią, następnie — są już tylko codziennym, żołnierskim obowiązkiem. Ciekawsze są trasy do Aleksandrii, gdzie rozładowuje się statki ze sprzętem i żywnością, przeznaczoną dla wojsk UNEF, czy do Ismaili, do której jedzie się wąskim pasem zielonych palm i gajów pomarańczowych, ciągnących się wzdłuż Kanału Ismailskiego. W kierunku Suez, na 101 kilometr, droga jest nuciąca i po jednej czy dwóch jezdniach, może obrzydzać. A przecież trzeba było przemierzać tę ponad dwustu-kilometrową trasę nieraz dwa razy dziennie. W okresie, gdy 24 kilometry od Suez, na szosie do Kairu, przeciętę izraelską pozycją toczyły się rozmowy egipsko-izraelskie, trzeba było codziennie dowozić wodę, paliwo i żywność dla jednostki fińskiej, która stała w Suez. Polacy doprowadzali wozy do 101 kilometra, tam za kierownicę „Starów” siadali Finowie i prowadzili wozy poprzez pozycję izraelską, do Suez. Dla Polaków, jako obywateli państwa nie utrzymującego stosunków dyplomatycznych z Izraelem, ostatnim przystankiem w tym czasie był 101 kilometr.

Jeszcze w bardziej skomplikowany sposób odbywało się zaopatrywanie w wodę, żywność i medykamenty 3 armii egipskiej, oddanej przez Izraelczyków na wschodnim brzegu Kanału Sueskiego. Do granicy neutralnego pasa, obsadzonego przez UNEF, podjeżdżały wozy prowadzone przez żołnierzy egipskich, tam za kierownicą zasiadali Finowie, prowadzili wozy poprzez pozycję izraelską do przedmieścia Suez, następnie wozy z zawartością przejmowali żołnierze egipscy, trzymający stróżnicę tego miasta. W taki to sposób żołnierze 3 armii, po podpisaniu egipsko-izraelskiego porozumienia, zaopatrywani byli w podstawowe środki, niezbędne do przeżycia. W podobny sposób odbywało się przekazywanie jeńców i rannych obywateli stron. Z obozów jeńческих pod Kairem izraelscy jeńcy przewożeni byli wożami UNEF na 101 kilometr i przekazywali w ręce żołnierzy.

Dopiero 28 stycznia, a więc w dziesięć dni po podpisaniu porozumienia o rozdzieleniu wojsk na wschodnim brzegu Kanału Sueskiego (raz wycofaniu oddziałów izraelskich z zachodniego brzegu, zwinęto na 101 kilometrze izraelską pozycję. Byłem świadkiem wycofania się ostatniego izraelskiego patrolu na północ od szosy Suez — Kair. Jeszcze w sobotę, 26 stycznia, na pozycję 101 kilometra przyjeżdżały autokary z Tel-Awiewu z wycieczkami — turyści izraelscy po raz ostatni mieli okazję sfotografowania się na tle pustynnego krajobrazu, zaskoków z drutów kolczastych i groźnie wyglądających pół minowych, chroniących izraelską pozycję — przeżyć dreszcz emocji. Do Kairu stąd przeciętę tylko 101 kilometrów. Po drugiej stronie Kanału, na przelocie Mitla i Giddi, która stała się (na jak długo?) linią rozgraniczenia wojsk izraelskich i egipskich, już takich emocjonujących przeżyć chyba nie będzie...

Na zdjęciu, które wykonałem w przededniu wycofania się Izraelczyków z 101 kilometra, widać niedoszlęgo muzyka, którego zamiast za fortepianem posadzone w okopie, oraz była krakowiak. Spytałem, czy pozwoli zrobić zdjęcie, odparła: nie, ale najpierw poprawi włosy. Ma na imię Renata. Przyjechała z Tel-Awiewu z wycieczką. Mówi poprawnie po polsku — tatus był majorem WP, ale nosił jeszcze rogatywkę, wyjechał

Dalszy ciąg na str. 7

Δ 70 ROCZNICĘ URODZIN obchodził premier Związku Radzieckiego ALEKSY KOSYGIN. Depeszę z życzeniami przelali: I sekretarz KC PZPR — Edward Gierek, przewodniczący Rady Państwa — Henryk Jabłoński i premier Piotr Jaroszewicz.

Aleksy Kosygin z okazji 70 rocznicy urodzin otrzymał wysokie radzieckie odznaczenia państwowe.

Δ W KOMITECIE ŁÓDZKIM PZPR odbyło się spotkanie kierownictwa redakcji łódzkich gazet, radia i telewizji z sekretariatem łódzkiej instancji partyjnej. W spotkaniu uczestniczyli: I sekretarz KŁ PZPR — Bolesław Koperski oraz sekretarze: Jerzy Chabelski i Kazimierz Łukarski. Mówiono o zadaniach prasy, radia i telewizji na rok bieżący.

Δ Minęła 56 ROCZNICA POWSTANIA ARMII RADZIECKIEJ. W Łodzi pod pomnikiem braterstwa broni i przy grobie nieznanego żołnierza zaciągnięto warty honorowe oraz złożono wieńce. W mieście bawiła delegacja Północnej Grupy Wojsk Radzieckich z Bohaterem Związku Radzieckiego — płk. I. Zilcenko.

Δ 80 rocznicę urodzin obchodził JAROSŁAW IWASZKIEWICZ. Z tej okazji otrzymał on Krzyż Wielkiego Orderu Odrodzenia Polski jako wyraz uznania za jego twórczą pracę.

Δ OGÓLNOPOLSKI KOMITET FJN zwrócił się z apelem do społeczeństwa.

„OK FJN zwraca się — czytamy między innymi w apelu — do wszystkich Polaków o powszechny udział w czynach społecznych dla upamiętnienia 30-lecia Polski Ludowej. Porządkujmy i upiększajmy nasze miasta, osiedla i wsie jak Polska duża i szeroka”.

Δ ROZPOCZĘŁA SIĘ WIELKA LOTERIA na rzecz Centrum Zdrowia Dziecka. Biorąc udział w loterii można wygrać jedną z wielu cennych nagród, ale nawet nie wygrywając żadnej, pomaga się wznosić pomnik, który będzie służył zdrowiu naszych dzieci.

Δ Prof. JÓZEF CHAŁASIŃSKI — wybitny polski socjolog obchodził 70 rocznicę urodzin. Prof. Józef Chałasiński przed wojną pracował w Wolnej Wszechnicy Polskiej, a po wojnie był jednym z organizatorów, a później rektorem Uniwersytetu Łódzkiego. Przez długi czas mieszkał i pracował w Łodzi.

Δ TŁEN DLA WISŁY. Doszliśmy już w niszczeniu naturalnego środowiska do tego, że trzeba stosować sztuczne oddychania dla królowej polskich rzek. „Sztucznymi płucami” nazywano system mechanicznego tłoczenia tlenu do wód rzeki.

Projekt stacji dotleniania Wisły powstał w „BIPROWODZIE” w 1967 roku. W rok później zatwierdzono go do realizacji. Budowa nastąpi jednak dopiero w 1974 roku.

Pierwszą stację dotleniania Wisły zbuduje się w rejonie ujścia Przemysły i Małej Wisły. Rzeki te niosą do Wisły zanieczyszczone wody, które później dotrą do Oświęcim. Pod Oświęcimem wpada jednak do Wisły czysta Sola. Zakłady chemiczne w Oświęcimiu biorą wodę dla swych

potrzeb z Soly, a ścieki wydalają do Wisły. Znaczna porcja tlenu wzmacnia mikroorganizmy, które będą mogły samodzielnie oczyścić wodę, a zasilone czystymi wodami Soly przebrną przez barierę oświecimskich zanieczyszczeń, przyczyniając się do odrażdzenia się życia biologicznego największej z polskich rzek.

W przyszłości powstaną dalsze stacje, które stworzą system zasilający rzekę w tlen, a tym samym ułatwiają jej samooczyszczanie.

Koszt budowy pierwszej stacji wyniesie 29 milionów zł. Zysk — 200 milionów złotych.

Δ BAL WYSOKICH odbył się we Wrocławiu w salach „Piwnicy Świdnickiej”. W czasie balu wybrano najwyższego człowieka w Polsce. Okazał się nim Eugeniusz Taraciński z Bystrzycy w województwie wrocławskim. Najwyższymi kobietami w Polsce wybrano Marię Michałowską z Torunia i Irenę Kosińską z Legnicy. Mają one obie po 193 cm wzrostu. Najwyższy mężczyzna ma natomiast 226 cm. Sprawo!

Δ SZCZECIŃSKIE „SPOJRZENIE” — miesięcznik społeczno-kulturalny — ogłosił nagrodę literacką.

NOTY i OPINIE

Będzie ona przyznawana za wybitne osiągnięcia literackie ludzi piszących i mieszających w trzech województwach nadmorskich: gdańskim, koszalińskim i szczecińskim.

„Kandydatami do nagrody są — stwierdza Regulamin Nagrody Literackiej „Spojrzenie” — wszyscy autorzy książek prozatorskich beletrystycznych wydanych w roku poprzedzającym przyznanie nagrody”.

Nagroda wynosi 10 tys. zł. Jej fundatorem jest RSW „Prasa-Książka-Ruch”.

Δ W GRENOBLE istnieje francuska firma o swojskiej nazwie: „Towarzystwo Pomagalski”. Brzmiałoby trochę jak nazwa młodzieżowej organizacji do służenia sobie wzajemną pomocą w odrabianiu lekcji lub w przygotowywaniu ściągań na egzamin. Ale tak nie jest — jak informuje specjalny wysłannik „Expressu Wieczornego” — jest to poważna firma z 80 milionami franków rocznego obrotu. Założył ją w 1947 roku Polak — Jan Pomagalski i już po krótkim czasie

firma ta znalazła się w czołówce zakładów inżynierii-konstrukcyjnych na świecie.

Firma ta skonstruowała ostatnio prototyp rewelacyjnej — jeśli wierzyć wysłannikowi „Expressu Wieczornego” — kolei miejskiej. Stanowi ona skrzyżowanie kolei linowej i szybkiej kolei poruszającej się na jednej szynie betonowej. Prototyp tej kolei budowany jest w Grenoble i nosi nazwę „POMA-2000”.

Kolejka porusza się po betonowej szynie ułożonej na słupach. Składa się z małych wagoników, mieszczących po 25 osób każdy. Wagoniki te ciągnie lina, a poruszają się one po zamkniętym obwodzie. Na przystankach odjeżdżające są automatycznie od liny napędowej, wyhamowywane, aby ludzie mogli wysiąść i wsiąść a następnie automatycznie zaczepiane jadą dalej. Wagoniki „POMA-2000” praktycznie nigdy nie zatrzymują się, gdyż wzdłuż peronu poruszają się z szybkością 25 cm na sekundę. „POMA-2000” może w zależności od wariantu przewozić na godzinę od tysiąca do 4 tysięcy osób. „POMA-2000” nie zatruwa atmosfery, ale koszt jej eksploatacji jest — niestety — wyższy od kosztów komunikacji autobusowej. Zdaniem autorów „POMA-2000” brak szkodliwości dla otoczenia przewyższa i tę ujemną cechę nowego rozwiązania komunikacyjnego.

Δ RENESANS CZESKA — dawnej siedziby książąt mazowieckich, a dziś niezwykle zaniedbanej miejscowości — ma nastąpić do 1980 roku. Plan odbudowy opracowały władze województwa warszawskiego. Do tego roku ma powstać w Czersku motel, kawiarnia, amfiteatr, ma nastąpić restauracja zamku książąt mazowieckich, wybuduje się (już w tym roku) pole namiotowe, a następnie baseny, szatnie, i inne urządzenia potrzebne do uprawiania sportów wodnych. Czersk posiada bowiem znakomite warunki naturalne, aby stać się rekreacyjnym zapleczem dla Warszawy.

Również chyba w województwie łódzkim znalazłoby się kilka miejscowości, którym warto byłoby pomóc w rozwoju, a tym samym powiększyć bazę rekreacyjną dla Łodzi i miast województwa łódzkiego.

Δ STARE MEBLE można ponownie używać. Jak obliczają specjaliści obrotu starymi meblami mogłyby w kraju wzrosnąć do 300 mln zł. Obecnie komisowa sprzedaż starych mebli zajmuje się 23 sklepy w całym kraju. Punkty te nie dysponują ani odpowiednią reklamą, ani informacją, ani własnymi środkami transportu — w takim stopniu, aby sprostać potrzebom i możliwościom handlu starymi meblami.

Meble — w dobie szybkiego, przemysłowego budownictwa mieszkaniowego — stanowią artykuł niezwykle poszukiwany. Ludzie zapisują się w kolejki po nowe meble. Niektórzy więc chętnie skorzystaliby ze starych, odnowionych lub nawet dobrze utrzymanych i nie wymagających naprawy. Gdyby tylko mogli z tego skorzystać. Warto byłoby chyba zająć się tą sprawą. W skali kraju i w Łodzi — szczególnie.

POLEMIKI

„HAMLET NA DREWNIANYM ROWERZE?”

Król-Hitler podstępem zdobywa władzę. Niestety, dobry Niemiec, demokrat, bratanek króla „Hamlet” zaczyna coś podejrzewać. Król-Hitler tymczasem militarnie otacza, przygotowuje się do obrony kraju. Niestety, w walce o władzę giną obaj, grzebiąc wraz z sobą swoich stronników. Obcy władca zajmuje królestwo, szabując przy sposobności co tylko się da.

Jaki stąd morał? Gdzie się dwóch... A nie, to byłoby zbyt proste. Morał jest inny. Gdyby nie spory wewnętrzne Król-Hitler byłby obronił królestwo i nie dopuścił do jego rozszabowania. Gdyby nie Hamlet... To z jego winy naiwnego dociekania prawdy naród popadł w niewolę, a państwo upadło.

Wcale bym się nie zdziwił — gdyby w Niemieckiej Republice Federalnej zechciano skorzystać z tej koncepcji i wystawiono „Hamleta” zgodnie z naukowymi wywodami na temat przyczyn upadku III Rzeszy.

Z „Hamletem” bowiem, jak z każdym innym utworem, można się spierać, każde pokolenie znajduje w nim coś dla siebie, co więcej — każde pokolenie odczuwa „Hamleta” własnymi obsesjami. Naprawdę go również Gustaw Holoubek. Potrzeba czynu, logicznego działania, a więc tymi cechami, których brak szczególnie daje się nam we znaki. Dzięki temu utwór stał się prawie współczesny, zszarzał przez bliskość, ale z drugiej strony nabrał mocy i zdecydowania.

Wypada zatem zadać pytanie, dlaczego będąc wiernym sobie ścigał na siebie tak gwałtowne słowa krytyki.

Holoubek, moim zdaniem, naraził się znacznie wcześniej, wystawiając „Mazepe” i „Fantazego”. Rzucił wyzwanie paranoi nowatorstwa. Z prostoty i pokory wobec sztuki wyzwarował spektakle o wyjątkowej sile wyrazu i artystycznej doskonałości, dowodząc jednocześnie, że Juliusz Słowacki piękny i mądry jest tylko wtedy, gdy mu się pozwoli mówić samemu.

Przepraszam! Złych użyłem argumentów. Każdy awangardysta uważa, że tylko on jest wierny autorowi, najwierniejszy. Że do wierności tej dochodzi przez bolesną amputację dzieła, dzięki której utwór jak konserwa zostaje otwarty, a wnętrzu podane widzowi nadaje się do natychmiastowego, beznamiętnego spożycia.

Okazuje się więc, że choć argumenty są te same, metody różnią się zasadniczo. Podobnie zresztą bywało z wolnością, którą już starożytni przynosili podobnym narodom na ostrzu miecza; usmiereczając dawny porządek, uświadamiali podobnym jej rzeczywistą cenę.

Ma więc i sztuka również swoich kapłanów-strażników i najeźdźców niszczących dobra kultury w imię wolności odcinających nas od pewiny przeszłości. Tłumaczących świat po swojemu, strojąc utwory wielkich mistrzów do siebie tylko zrozumiałego belkotu.

Holoubek miał odwagę temu się przeciwstawić. Uczynił z tego program swojej działalności artystycznej i społecznej. Trudno było go ukarać za „Mazepe” i „Fantazego”. Sukces był zbyt powszechny. Co prawda niektórzy żalowali, że

Fantazy nie był z wizytą w PGR, gdzie zmartwione z przerażenia dółki przemieniają się w karłyżę-tolpę, gdzie Diana rozpoczyna pospólisto ślady cherlawych, suchotliwych tuczników.

Trudno, nie zrobił tego, wybaczone mu jednak ten nieakt popełniony na polskiej literaturze. Ale odwet gotowano od dawna. Dolapano go teraz. Niefortunna, nielewizyjna scenografia oraz parę innych potknięć wystarczyły, by wiernemu sobie, swojemu programowi artyście spuścić łanie, postawić za karę do kątą jak debiutanta z dalekiej prowincji. „Hamlet” stał się więc dla wielu okazją do załatwienia się z programem Holoubka w ogóle, a ze Słowackim w szczególności.

W 1903 roku, wiele lat przed I wojną światową, Wyspiański uważał, że jeśli my, Polacy, decydujemy się na wystawienie „Hamleta”, to powinniśmy pamiętać o swoich, polskich potrzebach. Nie możemy sobie pozwolić jak znużeni w wolności i dobrobycie Francuzi, Niemcy, Anglicy — na medytację w stylu hamletycznym: „Być albo nie być — oto jest pytanie”. Nam jest inny „Hamlet” potrzebny, dla którego: Być! albo nie być! — nie budzi żadnych wątpliwości.

Holoubek poszedł tropem Wyspiańskiego. Ale za wierność wobec tradycji i chęć jej dalszego kultywowania ścigał na siebie gromy. Brawo!!!

KAROL OBIDNIAK

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKO-SZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI.



Fot. A. Wach

OD ESTETYZMU DO REALIZMU (FRAGMENT)

Zyskując wydział intelektualny proza Iwaszkiewicza nie przesadza się jednak nigdy w abstrakcyjną demonstrację, w powiastkę filozoficzną. Czytelnik w jej fikcyjnym świecie czuje się nieomal jak w rzeczywistości; nie dostrzega kierującej ręki autorskiej, lecz ulega złudzeniu, że interpretuje ów świat samodzielnie. Stąd wieloznaczność i aluzyjność tej prozy, której pełne zrozumienie wymaga, wbrew pozorom, dużego wysiłku.

W ogóle zarówno ówczesny światopogląd, jak i technikę pisarską Iwaszkiewicza cechuje niechęć do abstrakcji. Wynika ona z przekonania, że bogactwo życia przerasta wszelkie ujęcia teoretyczne. Stąd krok już tylko, aby uznać zasadniczą niepoznawalność czy absurdalność świata. W okresie okupacji, kiedy człowiek ginął nie wiadomo za co, za to chociażby, że — jak ów Iwaszkiewiczowski Ikar — nie cofnął się na czas przed przejeżdżającym gestapowskim autem, i gdy mało kto potrafił poza niedorzecznością indywidualnych przeznaczeń dostrzec prawidłowość historycznych procesów, problem ironii losu, nieobliczalności i swolnego „demonizmu” życia staje się dla Iwaszkiewicza centralny. Oto — podczas rebelii purytanów angielskich przeciwko katolickiemu królowi Jakubowi II, na czele której stał pretendent do tronu Monmouth — bohaterka „Bi-

łoty na równinie Sedgemoor” (1942), Anna, uprzedza z narażeniem życia dowódcę wojsk królewskich o szukającym się ataku przeciwnika. Ale ofiarą jej jest niepotrzebna; zyskuje na niej tyle tylko, że gwałci ją pijany żołdak; katolicy wygrywają bitwę i bez niej. Niepotrzebna okazuje się również śmierć Monmoutha: „W trzy lata potem wypędzono króla Jakuba i mógł być wówczas powrócić do Anglii w orszaku Wilhelma III”. „Anna miała wrażenie — kończy autor — że jakaś ogromna fala podniosła ją ku górze, ominięła, przeszła, rozplynęła się i pozostawiła ją jak złamaną muszlę na piasku”. Można się w tym „absurdalistycznym” opowiadaniu doszukać również polemiki Iwaszkiewicza z bezsensownością okupacyjnej bohaterstwu, która wyraz ostateczny znalazła w tragicznym powstaniu warszawskim.

Niebawem jednak podejmuje on na nowo te zagadnienia i oświeśla je inaczej. W opowiadaniach „Stara cegielnia” i „Młyn nad Lutynią” (1943—1945) problem bohaterstwa zostaje ściśle zespolony z problemem krzywdy społecznej, niewymyślny heroizm prostych ludzi — przeciwstawiony egoizmowi lub zreygnowaniu warstw wyższych. W „Młynie nad Lutynią” stary młynarz, któremu rozpustny dziedzic, kolejny ułudzielec jego żony i córki, zostawił w spadku nieprawego wnuka, z chwilą gdy wnuk

ten wda się w konspiracyjne z hitlerowcami, wykonuje nad nim samosąd — nie tylko za zdradę narodową, ale ponieważ i za tamtą, zadawnioną krzywdę. W „Starej cegielni” człowiek z dołu, jednooki pętek Wacek, ofiaruje swoje bezwartościowe — własnym zdaniem — życie za konspiracyjnego działacza, który sam machnął już na siebie ręką. Obydwa te opowiadania, oparte — zwłaszcza „Stara cegielnia” — na doskonale znajomości środowiska drobniomieszczańskiego z jego pretensjonalnością i filmowo-arystokratycznymi ideałami,

stanowią najwyższe chyba z dotychczasowych osiągnięć Iwaszkiewicza.

Linie „Starej cegielni” kontynuują w swej powojennej — głównie prozicznej — twórczości. W ostatnich opowiadaniach objawia się głównie jako pieśń „małych ludzi”, cichego prowincjonalnego życia, które — zamknięte na chwilę nawrotem okupacyjnych spraw i wspomnień — uspokaja się niebawem, by potoczyć się dawnym lozyskiem. Opowiadania „Światła małego miasta” (1947), „Cmentarz w Toporowie” (1947), „Młyn nad Kamionką” (1950) czy dramat „Odbudowa Biedomierza” (1951) pokazują, jak świeża ruń porasta okupacyjne groby, opiewają dzieje moralnej odbudowy kraju.

Spokojna rozlewność narracji, znajomość ludu, wszechobejmująca wreszcie sympatia dla życia, wszystko to zbliża Iwaszkiewicza — w ostatnim okresie — do dziewiętnastowiecznych prozaików — humanistów rosyjskich, którzy swoją — daną im przez wieśkie, ziemskie wychowanie — wiedzę o ludzie obrócili ostrzem przeciw własnej klasie. Sytuacja historyczna, w której działał Iwaszkiewicz, była co prawda bez porównania trudniejsza. W XX wieku warstwa ziemiańska niewiele ma już do powiedzenia: jej kultura ma charakter czysto konsumpcyjny i ornamentalny. W poczuciu własnej słabości szuka ona wówczas oparcia w wielkiej finansjerze, wchodząc z nią w ścisły towarzyski i polityczny sojusz. Znika z niej moda na „postępowość”: zbyt poważne interesy wchodzi teraz w grę, aby mogła sobie pozwolić po staremu na liberalne ciągotki. Toteż w latach międzywojennych udziela ona poparcia świeżo powstałemu faszyzmowi. Tu jednak rozchodzą się drogi pisarza i warstwy, której był dotychczas wyrazicielem. Po pierwszych — niebawem jeszcze udanych — próbach jej krytyki, po okresie osamotnienia i metafizycznych poszukiwań Iwaszkiewicz dociera wreszcie do stanowisk biegunowo przeciwnych tym, z jakich wyszedł.

Wśród współczesnych — jest to pisarz o najobszerniejszym badaniu i



Fot. A. Wach

najbardziej różnorodnym dorobku. Powieść, nowela, poezja, dramat, krytyka, publicystyka, reportaż — trudno wymienić rodzaj, którego by nie uprawiał. Pisanie było dlań zawsze funkcją życiową; rodził swe dzieła równie naturalnie i bez wysiłku, jak jabłko rodzi jabłko. Trudno też o twórczość bardziej bezpretensjonalną, bardziej wyzbytą jakichkolwiek wieszczych ambicji i koturnowości. Pisarz ten, który kocha świat miłością spokojną i ciepłą, uważa, że każdy jego szczegół już przez to, że istnieje, godzien jest utrwalenia. Oczywiście, i ta postawa kryje w sobie pewne niebezpieczeństwa; z niej to wynika — we wczesnych jego utworach — nadmiar autobiograficznych szczegółów i kompozycyjny bezład. Pisarz ten jednak, który w ciągu swej czterdziestoletniej drogi twórczej bezustannie się rozwijał, potrafił — w końcu — i te niedostatki przerobić na zalety. Respekt dla autentyki, zamiłowanie do trafnie zaobserwowanego szczegółu opancerzyło go przeciw niebezpieczeństwu schematyzmu; utwory jego nie były nigdy abstrakcyjnym dowodzeniem, zawsze mieniły się barwami życia. Bogactwem obserwacji dysponował Iwaszkiewicz od początku; swój wyśklek pisarski skupił na coraz doskonalszym ich porządkowaniu, na poddawaniu ich coraz ściślejszym rygorom intelektualnym, aby — w rezultacie tej długiej i zawilej drogi rozwojowej — stać się pisarzem humanizmu ludowego, jednym z mistrzów współczesnej prozy polskiej.

1953-54.

ARTUR SANDAUER

ZAMIEĆ W ŁODZI

Jak kiedyś czasem kto pastel zetrze
Białe zatarte jest miasto całe —
I w takim śniegu i w takim wietrze
Trzepią się barwy czerwono-białe...

A ponad śniegiem drżą błyskawice!
Z bijącym sercem człowiek wychodzi
Powitać dawno znane ulice,
Czerwone flagi w śnieżystej Łodzi!

3 marca 1945

OKUPOWANEJ WARSZAWY DZIEŃ POWSZEDNI

W ostatnich latach ukazało się u nas wiele prac historycznych, różnych społecznie i w rozmaitych okresach czasu. Nie mogę powiedzieć, abym był ich entuzjastą. Mimo wszystkich swych głównie czytelniczych zalet, jest to raczej epigonijski dziś rodzaj pisarstwa historycznego, od kilkudziesięciu lat popularny zwłaszcza we Francji i propagowany tam, z dobre zrozumianych względów handlowych, przez wielkie wydawnictwo „Hachette” (które i nam dostarczało bogatego serwisu tego rodzaju opracowań). Nasycone tak żywymi przymowami przez czytelników materiałem anegdotycznym i potoczystą narracją zbyt często idzie tu w parze ze swoistym splaszaniem historycznego obrazu z pozostawianiem dynamiki dziejowych przemian, ze stabilizacją niestabilizowalnego. Dlatego też nie dziwny się, że ten rodzaj dziejopisarstwa pozostaje jak gdyby na marginesie wielkich prądów nowoczesnej historiografii, a często znajduje się pod ostrzałem historyków — nowatorów, by przypomnieć ostrą dyskusję wielkiego uczonego, Lucien Febvra z konserwatywnym historykiem Abilem Lefrancem, w związku z książką tego ostatniego o „życiu codziennym” we Francji w dobie Renesansu, dziełem które stanowiło po dziś dzień model naśladowany przez licznych, również i naszych autorów.

Wzór A. Lefranc'a zafascynował ostatnio także badaczy II wojny światowej. Świadomie i expressis verbis nawiązuje do niego Tomasz Szarota, autor znikającej właśnie w przyspieszonym tempie z półek księgarskich książki „Okupowanej Warszawy dzień powszedni” (Czytelnik 1973). Literatura dotycząca poszczególnych problemów życia okupowanej stolicy jest dziś ogromna, zaś same czasy obrosły legendą, stąd próba spojrzenia na nie oczami współczesnych może być interesująca nie tylko ze względów czytelniczych, ale i po-

znawczych. Historykowi nie może być obojętne, jak ma się obraz tamtej rzeczywistości, chwytany niejako „na gorąco”, zbudowany z informacji jej współczesnych do tego obrazu, który uwzględnia już wnioski, wypływające z późniejszych dziejowych doświadczeń, których wówczas nie można było jeszcze przewidzieć. Rozumiemy wreszcie, że historykowi chodziło również o przeciwstawienie się spoglądaniu na tamte lata jedynie przez pryzmat walki z wrogiem, bo przecież poza nią i obok niej istniały także inne sprawy, istniała także często przyziemna codzienność nie tylko sabotażu, lecz także szmuglu, różnego rodzaju kombinacji, wreszcie zwykłej nędzy, z którą zapoznawali się coraz liczniejsze kręgi polskiego społeczeństwa. Dlatego też, jak pisał Tomasz Szarota, nie sposób nie pojąć tej formy dziejopisarstwa, do której można wszak żywić wiele zastrzeżeń. Staral się on przedstawić obraz warszawskiej społeczności odmienny od tego, do któregośmy dziś przywykli. W takim wypadku forma opisu „życia codziennego” wydaje się być uzasadniona, autorowi nie chodziło bowiem o nic innego, jak o „dokumentacyjną opowieść o powszednim, okupacyjnym dniu warszawiaków”.

Przecież jednak mimo obfitości materiału, pomimo nasycenia swej barwnej opowieści mało znanymi konkretnymi, zapropinowane przez T. Szarotę ujęcie przedstawia wrażenie niedosytu. W jego dążeniu do obiektywizacji nastąpiło coś, co zdaje się mu zaprzeczać. Prawda, nie walka z okupantem była jego tematem, bo o niej wielekroć pisał już inni, ale... mimo wszystko zabrakło mi zaakcentowania tego, w jakiej mierze ważyła ona na krajobrazie miasta. Stanowiła ona nieodłączny element ówczesnej codzienności, zaważyła na specyficznych zachowaniach się warszawskich przechodniów, skoro usłyszeli o ni strzał, okrzyk, tupot nóg...

Nie, nawet jeżeli nie jest naszym celem opisywanie jej dziejów, nie wolno nam przekraczać, w dążeniu do obiektywizacji poglądu rzeczywistości, granic... obiektywizmu. Walka bowiem, w jej najprzeróżniejszych postaciach, z których bynajmniej nie wszystkie utrwała literatura piękna czy obraz filmowy, walka ta — powtarzam — była jednym z najistotniejszych komponentów obrazu ówczesnej warszawskiej ulicy.

Historyk omówił kolejno wygląd miasta i ludzi, warunki bytowania, życie kulturalne, oblicze wroga i zmiany nastrojów społeczeństwa, gromadząc w każdej z części swej opowieści obfite zasoby informacji, z których bardzo wiele zostało tu jawionych po raz pierwszy. W chwalebnym dążeniu do precyzyjnego rozkwalifikowania posiadanej materiału w imię obiektywizmu historycznego obrazu zabrakło jednak, moim zdaniem, czegoś co zdaje się być rysem szczególnie charakterystycznym ówczesnych stosunków, a co winno być — w moim przekonaniu — znaleźć swoje odzwierciedlenie na kartach tej książki. Chodzi mianowicie o to, że w warunkach okupacyjnych coś mogłoby być, a nader często bywało, czymś jednocześnie zgola innym, że np. zwyczajny szmugiel bywał jednocześnie drogą konspiracyjnego kontaktu, nielegalny handel był nie tylko środkiem łatwego (na pewno nie zawsze) bogacenia się jednostek, ale był powiązany wieloma niemi z toczącą się walką z wrogiem, że... Przykładów można by przytoczyć tysiące: wszak często otwarta kolaboracja, pełnowartościowa organizacja, była czymś jakże odmiennym od tego, co można by o niej sądzić, niejednokrotnie najbardziej bohaterstwu. Jeżeli więc piszemy o życiu codziennym w okupowanej Warszawie czy jakimkolwiek innym mieście, jeżeli — i słusznie — zwracamy

uwagę na fakty niechlubne, takie jak na przykład udział tych czy innych artystów w imprezach, inspirowanych przez okupanta, nie może nas zadowolić li tylko powierzchowne obejrzenie tych zjawisk tak, jak przedstawiały się one w oczach ówczesnego „człowieka z ulicy”, który po prostu nie mógł wiedzieć, jak sprawy wyglądały naprawdę. Jestem jak najdalej od zgłaszania do autora pretensji, że nie ma w tej książce lakieru, który by społeczeństwo warszawskie przedstawiał w zmitologizowanej perspektywie jako zbiorowisko samych aniołów, proszę więc mnie źle nie rozumieć. Chodzi mi o to tylko, że bardziej dialektyczny ogląd rzeczywistości tamtych czasów byłby jednocześnie bardziej prawdziwym. I tutaj znowu mści się ograniczenie, wynikające z przyjętego przez T. Szarotę modelu dziejopisarstwa.

Chociaż — jak podkreślałem — dostrzegam liczne mankamenty formuły opisu „życia codziennego”, która jako forma dziejopisarstwa po prostu mnie nie zadowala, nie mogę zaprzeczyć, że przydałoby się więcej takich książek, jak ta T. Szaroty. Łodziakom nie po raz pierwszy spogląda tu z zazdrością: wszak literatura o dziejach Warszawy jest tak bogata, zaś nasza, warszawska wydawnictwa poświęcają problematyce dziejów stolicy całe serie wydawnicze, dają do rąk czytelników niejednokrotnie wybitne opracowania, publikacje materiałów źródłowych i jeszcze nie wiedzieć co. U nas w Łodzi panuje pod tym względem niemal martwy spokój. Nie wytrzymujemy zresztą nie tylko porównania z Warszawą, ale z Krakowem, Poznaniem, Gdańskiem i wieloma innymi miastami. Tam lokalne domy wydawnicze wykazują nierzadko różnorodność inicjatyw, aby dać czytelnikom do ręki nie tylko byle jakie „czytadla”, ale i poważne prace poświę-

cone historii ich miast. U nas wiele ambitnych prac, dotyczących dziejów Łodzi i regionu, zalega w szufladach autorów bądź jest rozwałkowanymi po czasopiśmie, bowiem w końcu nie mogą się doczekać druku, rzekomo z powodów nieopłacalności. Jeżeli oburzy się na te słowa Wydawnictwo Łódzkie, chętnie podzielę się czytelnikami zebranymi przeze mnie wiadomościami o tym, jakie to prace historyczne i historyczno-literackie, dotyczące Łodzi i regionu łódzkiego, zostały przez nie odrzucone. Obawiam się, że gdyby ktoś z łódzkich historyków pokusił się o napisanie podobnej książki, jaką problematyce warszawskiej poświęcił T. Szarota, prawdopodobnie napotkalaby ona na sto trudności, zanim ukazałaby się drukiem. A może może krąkanie jest dziś już nieuzasadnione?

Książka T. Szaroty budzi szerokie zainteresowanie czytelników, a jednocześnie prowokuje do dyskusji. Będą one, niechybnie, zacięte: wiele tu spraw, wiele ocen, mnóstwo nazwisk. Nie sposób aby nie było i pomyłek: nawet najskrupulatniej zebrane przez historyka źródła pozwalają bowiem na poznanie jedynie fragmentów rzeczywistości, której inne elementy są dziś nie do odtworzenia, bądź zachowały się w ludzkiej pamięci tylko. Na pewno jednak wydawnictwo „Czytelnik” oddało autorowi niedźwiedzią przysługę, wzbogacając książkę solidną porcją błędów korektorskich, od których roją się jej karty; w oczach czytelników obciążają one autora, nie zaś nieuwidoczonych w książce redaktora i korektę. Swoją drogą nieżyło to pomyśleć nie podawanie nazwisk pracowników domu wydawniczego, odpowiedzialnych za ostateczny kształt książki, w ten sposób uńska się krytyka.

LEKTOR

GEORGES SIMENON

WIEZIENIE

5

Tłumaczył: R. WYSOCKI

Niżej zaś pisało mniejszymi czcionkami:
Niewątpliwie chodzi tutaj o dramat zazdrości.

Widać było lichą fotografię Kocura, jak idzie przez podwórze gmachu Policji Śledczej zakrywając objęciem rękami twarz.

Nie zdobył się na odwagę, by przeczytać artykuł, czy też przejrzeć inne gazety poranne. Wstał za wcześnie. W inne dni udawał się wprost na ulicę Marignan, lubił być jednym z pierwszych i osobiście otwierać pocztę.

Nie miał ochoty iść do redakcji. Na nic nie miał ochoty. Mało brakowało, a byłby położył się na powrót do łóżka i zasnął. Jakąś działką na niego fakt, że słyszy, jak pani Martin krzyczy się koło niego, mimo, że była wrogo usposobiona.

O czym to on zapominał? Wiedział, że ma dzień przeładowany, ale był niezdecydowany, umysł miał, jak za mgłą.

Ach! tak. Adwokat! Najlepiej znał tego, który był radcą prawnym tygodnika i wytykał mu. Nazywał się Helbig, Wiktor Helbig i trudno było odgadnąć, jakie jest jego pochodzenie. Miał akcent, który równie dobrze mógł być czeski, jak polski albo węgierski.

Zabawny, człowieczek w średnim wieku, otyły, ułizany, w okularach o szklach grubych, jak lupy, z ognistą, rudą czupryną.

Mieszkał samotnie w lokalu przy ulicy des Ecoles, w nieprawdopodobnym nieładzie, co nie przeszkadzało, że był jednym z najświetniejszych cywilistów.

Hallo, Wiktor? Nie obudziliście się?

Zapomniał, że mój dzień zaczyna się o szóstej rano. Wiem, w jakiej sprawie dzwonił.

Czytałeś gazety?

Wiem tyle, żeby poradzić ci Rabuta.

Filip Rabut był adwokatem sądu przysięgłych i stał w najgłośniejszych procesach ostatnich dwudziestu lat.

Nie uważasz, że oznacza to przyznanie się, że to trudna sprawa.

Twoja żona zabiła siostrę, nie?

Jasne.

Nie wypiera się tego?

Przyznała się do tego.

Jak to tłumaczy?

Ni jak.

To lepiej.

Dlaczego?

Bo Rabut podkłada jej linie postępowania. Jak to się odbije na tobie?

Co masz na myśli?

Czytelnikom twojego tygodnika nie spodobają się, być może, rola, jaką ty odegrałeś.

Nie odegrałem żadnej roli.

Naprawdę?

Tak było. Już prawie od roku nie tknęłam jej siostry.

Zadzwonił do Rabuta. Znasz go?

Dość dobrze.

Powodzenia.

Musiał poszukać numeru telefonu Filipa Rabuta, który mieszkał na bulwarze Saint-Germain. Spotykał go często na premierach, na cocktailach, na kolacjach.

Głos kobiety był energiczny, niemal ostry.

Tu gabinet mecenasa Rabuta.

Alain Poitaud — rzucił.

Chwileczkę, proszę pana. Zaraz zabaczę.

Musiał czekać dobrą chwilę. Mieszkanie na bulwarze Saint-Germain było rozległe. Był tam kłódnia na przyjęciu. Adwokat nie urzędował jeszcze zapewne w swoim gabinecie.

Rabut. Spodziewałem się trochę pańskiego telefonu.

Od razu pomyślałem o panu. Mało brakowało, a byłbym zadzwonił wieczorem, ale nie chciałem panu przeszkadzać.

Wróciłem bardzo późno z Bordeaux, gdzie stawałem na sprawie. Niech mi pan powie, sprawa wydaje się dość prosta. Zadaje sobie tylko pytanie, w jaki sposób taki człowiek, jak pan, uwikłał się w tę sytuację. Nie sposób uniknąć rozgłosu. Nie wie pan, czy pańska żona zeznawała?

Według relacji komisarza Roumagne ograniczyła się do przyznania, że

strzelała i odmówiła odpowiedzi na wszystkie inne pytania.

To jest już coś. A mąż?

Zna go pan?

Zetknąłem się z nim.

Twierdził, że nie wie. Część nocy spędził dziś u mnie.

Ma do pana pretensje?

W niczym się już nie orientuje. Ja też nie.

Mój drogi, nielato będzie ukazać pańską rolę w sympatycznym świetle.

To nie z mojego powodu to wszystko się stało.

Był pan kochankiem jej siostry?

Już nie był.

Od kiedy?

Prawie od roku.

Opowiadał pan tę historię komisarzowi?

Tak.

Poknął ją?

To prawda.

Prawda, czy nieprawda, publiczność tego nie przełknie.

Nie chodzi o mnie, ale o moją żonę. Dziś znowu będą ją przesłuchiwać.

Z pewnością.

Chciałbym, żeby pan zobaczył się z nią.

Mam teraz spraw po uszy, ale tej nie mogę odmówić. Który sędzia śledczy został wyznaczony?

Nie wiem.

Jest pan u siebie? Niech pan nie wychodzi z domu, zanim nie zadzwonię. Spróbuję dowiedzieć się, co słychać w sądzie.

Zatelefonował do biura.

To pani. Maud?

Jedną z telefonistek, z którą zdarzyło mi się od czasu do czasu przepisać.

Jak się pan czuje, szefie?

Może się pani domyślić, mój króliku. Czy Borys już przyszedł?

Otwiera pocztę. Łączę pana.

Hallo, Borys?

Tak. Alain. Domyślałem się, że dziś rano nie przyjdzie do redakcji i zająłem się pocztą.

Nazywał się Maleski i Alain mianował go swoim naczelnym redaktorem. Mieszkał na przedmieściu, w okolicy Villeneuve-Saint-Georges, z żoną i czworogłosem, czy pięciogłosem dzieckiem. Należał do tych nielicznych w tygodniku „Ty”, którzy nie trzymali się bandy i po pracy wracali do domu.

Wiedział, że kolportaż.

Nie było dziś rano telefonów?

Dzwoniła bez przerwy. Wszystkie linie zajęte. Miałeś szczęście, że się dozwoniło do mnie.

Co mówią?

Przeważnie są to kobiety. Chcą wiedzieć, czy to prawda.

Czy co prawda?

Że byłeś kochankiem siostry, jak pisał między wierszami gazety.

Niczego podobnego nie mówiłem reporterom.

To nie przeszkadza im wyciągnąć wnioski.

Co im odpowiadać?

Że śledztwo dopiero się zaczęło i że nie nie wiadomo.

Zdenerwowanie Alaina znalazło wyraz w następnym pytaniu:

Co robimy z następnym numerem?

Nic. Zresztą, jeśli pytasz o moje zdanie, oto ono. Żadnej aluzji do całej afery. Treść numeru taka, jaka była przewidziana.

Na pewno masz rację.

Bardzo to przeżywałeś?

Zależy od chwili. Być może, wpadną w ciąg dnia na ulicę Marignan.

Nie mam odwagi siedzieć tu sam?

Wciąż zastanawiał się, co miał zamierzać. Wczoraj zdawało mu się, że jego dzień jest tak wypełniony, że nie ma czasu zebrać myśli, a oto teraz czuje się w swoim oszklonym studio tak odosobniony, jak na latarni morskiej.

Miał rodziców. Postanowił ich odwiedzić. Mieszkał niedaleko, na placu Clichy, od lat pięćdziesięciu, ale zachodził do nich rzadko.

O mało nie wyszedł, ale przypomniał sobie na czas, że ma dzwonić Rabut. Zatelefonował więc na plac Clichy. Mało ważne, że pani Martin słucha jego rozmów. Od tej pory nie będzie już

miął żadnych tajemnic, nawet intymnych, niektóre bowiem gazety nie o-mieszkały odrzucić jego życia ze wszystkich osłonek.

Hallo, mama? To ja. tak. Bardzo bym chciał się z tobą zobaczyć, ale jeszcze nie wiem, kiedy znajdę chwilę czasu. Jestem w domu. Nie. Jest jeszcze sprzątać. Właśnie wymyśliłam u mnie posadę? Dlaczego? Czytałaś gazety? A papi? Nie mówił? Ani słowa? Jest u siebie w gabinecie?

Ojciec był dentystą i zaczynał pracę o ósmej rano, przyjmował pacjentów aż do ósmej wieczór, jeżeli nie później.

Był krzepki, włosy szpakowate na jeża, oczy szare; był od niego taki spokój, robił takie wrażenie cierpliwości i wyrozumiałości, że chorzy wstydzi się swojego strachu.

Co mówisz?... Nie, jest trochę prawdy i trochę nieprawdy. W najbliższych dniach będzie na pewno więcej nieprawdy. Wpadnę ucałować cię, jak tylko będę mógł. Powiedz papie, że myślę o nim.

Pani Martin, ze ścierką w ręku, przyglądała mu się zaskoczona, tak jakby taki potwór jak on nie miał ani ojca, ani matki.

Cóż mógł jeszcze tymczasem zrobić? Palił papierosa za papierosem. Myślał o sądach, o Quai des Orfèvres, o areszcie policyjnym, o tej całej machinie, która łada moment zostanie puszczona w ruch, a która na razie jego ustawia na pierwszym planie.

Co to kobiety tam robią, w czasie godzin pustych, wolnych od przesłuchiwa-

Była godzina dziesiąta. Zadzwonił telefon. Porwał słuchawkę.

Hallo! To ja...

Łączę pana z mecenasem Rabut!

Hallo! Hallo! Rabut?

Świetnie. Sędzia śledczy został wyznaczony. Jest nim Benitet, człowiek dość młody, lat trzydziści pięć albo trzydziści sześć, który nie próbuje wypchnąć się na pierwszy plan i wygląda na sumiennego. Przesłucha pańską żonę o godzinie jedenastej w mojej obecności.

Z policją już skończyła?

Skończyła się, nie ma zagadki.

A ja?

Nie wiem, kiedy przyjdzie kolej na pana. Dowiem się przed obiadem i dam panu znać. Czas już na mnie, idę do sądu. Gdzie pana zastanę?

W redakcji. Gdyby mnie tam nie było, niech pan zostawi wiadomość telefonicznie.

Czy zrobił wszystko, co miał zrobić? Jeszcze nie.

Ile się pani należy, pani Martin?

Z kieszeni fartuszka wydobyla świstek papieru z nagryzonymi odłwkami cyframi. Ogólna suma wynosiła sto pięćdziesiąt trzy franki. Wręczył jej dwa banknoty stufrankowe, nie zrobiła gestu, że chce wydać resztę.

Zostawił pani klucz u stróżki.

W razie gdyby pan nikogo nie znalazł...

Zszedł na dół pieszo. Schody były szerokie i szkoda, że je zeszpecono tymi witrażami, które nadawały im wygląd staroświecki i pretensjonalny. Na każdym piętrze było tylko jedno mieszkanie. Trzecie było tajemniczo puste. Na drugim mieszkała bardzo bogata rodzina południowo-amerykańska, z trojgiem czy czworogłosem dzieckiem, z Rols-Roycem i szoferem. Mąż, po studiach we Francji, przez wiele lat stał na czele swego kraju. Obalił go wojskowy zamach stanu.

Na pierwszym piętrze biura towarzystwa nautycznego. Na parterze konsulat. Stróżówka wyglądała raczej jak salon dozorczyni — pani Joanna, jak bardzo dostojna dama, mąż jej pracował w ministerstwie.

Nie patrzyła lokatorowi w oczy, siliła się na dobrą minę.

Biedna pani! — mruknęła w końcu.

Tak.

Bóg wie, kiedy powróci.

Mam nadzieję, że wkrótce.

Zaczynał się przyzwyczajając, mimo odraz, do tego dwuznacznego zachowania.

Pani Joanno, proszę mi powiedzieć, czy nie zna pani przypadkiem jakiejś sprzątaczk?

Pani Martin opuszcza pana?

Właśnie przed chwilą to oświadczyła.

Trochę ją rozumiem, chociaż nie pochwalam. Ludzie nigdy nie zastanawiają się nad konsekwencjami swojego postępowania, nieprawda? Zwłaszcza mężczyźni.

Nie zaprotestował. Nie ona jedna zaczęła go oskarżać, uważać za właściwego winowajcę. Po co protestować?

Jest tu jedna młoda kobieta, która nie pracuje i szuka zajęcia. Spróbuję zobaczyć się z nią w ciągu dnia. Pan, zdaje się, potrzebuje kogoś tylko do po-ludnia?

Wszystko mi jedno.

Za ile?

Dam, ile zechce.

Wciąż siał drobny deszcz i większość przechodniów miała parasole. W końcu ulicy, kraty parku Monceau oddziaływały się spotęgowałam ciernią, a ich pozłacane grotły straciły połysk.

Zbliżając się odrobinę do swojego małego czerwonego auta, przypomniał sobie o samochodzie Kocura. Gdzie on mógł go zostawić? Czy auto wciąż jeszcze stoi przed bramą Blanchetów, na ulicy de l'Universite?

Bez konkretnego powodu razilo go, że wóz stoi w ten sposób na dworze, opuszczony. Przedostał się na lewy brzeg Sekwany i wjechał na ulicę de l'Universite. Pięćdziesiąt metrów od pałacyku, którego pierwsze piętro zajmował Blanchet, dojrzał samochód lánacy od deszczu. Przed furtką domu stały dwie czy trzy grupki ciekawskich, może nawet reporterów.

Ruszył w kierunku ulicy Marignan, wjechał w bramę kamienicy, którą jego redakcja pochłonięła prawie w całości, choć z początku zajmowała tylko ostatnie piętro.

Parter składał się z salonów i kłónek. Wsiadł do windy, która uniosła go na czwarte piętro, wszedł w korytarz, przez otwarte drzwi słychać było stukot maszyn do pisania.

Kamienica kiedyś była projektowana na mieszkania i trzeba było jedno ścianki postawić, inne rozebrać. Wchodziło się i schodziło schodami, krążyło po labiryncie korytarzy.

Od czasu do czasu pozdrawiał kogoś ruchem ręki, wreszcie pchnął drzwi do swojego gabinetu, gdzie Maleski zainstalował się na jego miejscu.

Jego też pozdrawił ruchem ręki. Podniósł słuchawkę.

Proszę mi dać garaż, króliczku.

Ten na ulicy Cardinet, tak. Nie ma

wolnej linii? Proszę mnie połączyć, ja tylko będzie to możliwe.

Jak zwykle nadszedł stos listów, niektóre przebiegł wzrokiem, nie bardzo wiedząc, o co chodzi.

Hallo, tak. Hallo, garaż Cardinet Benoit? Tu Poitaud. Tak. Dziękuję, stary. Wóz mojej żony stoi na ulicy de l'Universite. Nie. Kawałek za ministerstwem. Nie wiem, czy zostawiła klucze. Niech pański mechanik zabierze ze sobą, co trzeba. Niech go odstawi do garażu. Niech pan go zatrzyma u siebie. Tak. Proszę umyć, jeżeli pan chce.

Maleski przyglądał mu się z zainteresowaniem. Wszyscy przyglądali mu się z zainteresowaniem, cokolwiek robił, i zadawał sobie pytanie, jak powinien zachowywać się człowiek w jego sytuacji.

Na pierwszej stronie gazety, rozłożonej na biurku, zobaczył swoje zdjęcie ze szklanką w ręku, z rozwianymi włosami.

Szklanka tu nie pasowała. Tego z pewnością nie należało robić.

Na siłę kręcił się po pokojach, ścisłając dlonie, rzucając swoje zwykłe:

— Cześć, mój króliczku.

Na pozór czuł się swobodnie, niż on, którzy nie wiedzieli, co mu powiedzieć, ani też jak na niego patrzeć.

Wszedł na samą górę, do mansard, gdzie usunęli ściany i urządzono hale makiet. Julian Bour, jeden z fotografów, pochylony był nad rysownicą w towarzystwie Agnarda, który robił makietę.

— Cześć, dzieci.

Przerzucał stertę fotosów. Przeważnie były to nagie kobiety, specjalnego rodzaju, lansowanego przez tygodnik „Ty”. Nagie, albo półnagie niewiastki. — Każdy powinien znaleźć siebie — wyjaśniał niegdyś pewnym współpracownikom.

Dalszy ciąg nastąpi



ZNAHIE- CUNA

ŚCIŚLE TAJNA PROGNOZA POGODY

Wojna w XX wieku jest nie tylko zmaganiem ludzi i idei. To również wojna techniki i nauki. Według niemieckiego admirała Rugego — komunikaty meteorologiczne w okresie drugiej wojny światowej „nabrały znaczenia oręża szczególnego rodzaju”.

Od pierwszych dni Wielkiej Wojny Zarząd Służby Hydro-Meteorologicznej podporządkowany został Ludowemu Komisarzowi Obrony. Odtąd też mapa synoptyczna stała się swego rodzaju lustrem wiernie odzwierciedlającym sytuację na frontach. Jej granica zachodnia odpowiadała linii działań wojennych, a wraz z opuszczeniem kolejnych miast przez Armię Radziecką ubywały bezcenne dla meteorologów punkty, skąd nadchodziły meldunki o pogodzie.

„OBCIĘTA MAPA”

takim terminarzem określali synoptycy w wojennym czasie główny obiekt swojej działalności. Mówiąc z pewną przesadą, można stwierdzić, że połowę mapy musieli meteorologowie uzupełniać intuicyjnie, w czym pierwszoplanową rolę grało wieloletnie doświadczenie. W meteorologicznych archiwach spoczywały mapy sprzed lat trzydziestu kilku. Niosły one ślady wytartego ołówka, byłych izobar, zapomnianych cyklonów i antycyklonów. Po wojnie, kiedy dysponowaliśmy archiwami niemieckimi, w Centralnym Instytucie Prognoz uzupełniono mapy

py tego okresu, ponownie przeprowadzono linie frontów meteorologicznych, obszarów wysokiego i niskiego ciśnienia. Spoza na wpół wytartych konturów nakreślonych ołówkiem, synoptyczne mapy lat wojny noszą na sobie ślady innego rodzaju — pieczętki: „POUFNE”, „ŚCIŚLE TAJNE”, „WYŁĄCZNIE DO UŻYTKU SŁUŻBOWEGO!” i wreszcie: „OGÓLNE DOSTĘPNE”.

Można stwierdzić, że radzieccy specjaliści od prognoz znakomicie wywiązali się ze skomplikowanych zadań, jakie stanęły przed nimi w 1941 roku. Rzecz prosta, nie szczędzili wysiłków, aby poszerzyć serwis otrzymywanych informacji i przeniknąć swoją meteorologiczną

penetracją na tereny czasowo zajęte przez wroga. Wymagało tego w pierwszym rzędzie lotnictwo bojowe.

W 1942 R.

podjęto uwięzione powodzeniem próby zorganizowania służby meteorologicznej na terytoriach partyzanckich, na Smoleńszczyźnie. W szeregach partyzanckich nierzadko znajdowali się ludzie, którym nie obca była meteorologia i którzy posiadali odpowiednie doświadczenie. Oni to właśnie wzięli na siebie trud przeprowadzenia obserwacji i przekazywania ich wyników do „Wielkiej Ziemi”. Doniesienia te przyjmowane były w Moskwie, w Centralnym Sztabie Ruchu Partyzanckiego, skąd poszczególne dane wysyłano do sztabów armijnych, do służb lotnictwa dalekiego zasięgu, do Centralnego Instytutu Prognoz. Zdobyte w niewiarygodnie trudnych warunkach, na tyłach faszystowskich wojsk, nierzadko w centrum zażartej walki, dane te stawały się groźną bronią, pozwalając na śmiśle wypadki bombowców.

Konstruktorzy opracowali w tym czasie projekt nowej, automatycznej stacji meteorologicznej. Prototyp ustawiono na zapleczu wroga, w lasach Białorusi.

Piloci bombowców latających na dalekie tyły faszystowskich wojsk otrzymywali dzięki temu pewne informacje o oczekującej ich pogodzie.

PRZEZ PRZEŁĘCZĘ

W miarę rozwijania się sytuacji bojowej na frontach, zadania piętrzące się przed meteorologami stawały się coraz trudniejsze. Armia Radziecka przeszła do generalnej ofensywy, ożywiało się działania oddziałów Ruchu Oporu w krajach okupowanych. Zwłaszcza odpowiedzialna służba było zaopatrywanie w sprzęt, amunicję i inne wyposażenie partyzanckich armii w Jugosławii. Samoloty z czerwonymi gwiazdami na skrzydłach rozpoczynały regularne loty nad linią frontu — „przez przełęcz”, jak to nazywano — i zrzucały jugosłowiańskim partyzantom niezbędne zaopatrzenie.

Ale loty bojowe są nie do pomyślenia bez służby meteorologicznej. Sztab lotnictwa dalekiego zasięgu musiał więc wysłać na pomoc współpracowników Instytutu Meteorologicznego.

Po latach jeden z tych ludzi tak wspominał swoją wyprawę:

— Zostałmiśmy przetrzeźnieni do Jugosła-

wii lotem okrężnym, przez Teheran, Kair, Brindisi (to samo Brindisi, z którego alianckie samoloty startowały do lotów nad Polskę — przyp. tłum.) Część ludzi zrzucono na spadochronach, część lądowała przy pomocy szybowców. Znaleźliśmy się w samym sercu partyzanckiej krainy, w rejonie Drwaru, położonego w zachodniej części Jugosławii. Wśród lasów znajdowało się pole, gdzie nocami dokonywano zrzutów. W dzień nasze lotnisko maskowaliśmy gładzami i żywą zielenią. „Rama”, wywiadowczy samolot wroga, po całych dniach krążył nad naszymi głowami usiłując wypatrzyć pole startowe.

Od momentu przybycia zaczęliśmy obserwacje meteorologiczne. Cztery razy na dobę nadawaliśmy nasze komunikaty. W Moskwie natychmiast przekazywano je do sztabu lotnictwa, skąd otrzymywaliśmy je pulk podtrzymujący więz z Jugosławią.

Nasza stacja funkcjonowała do ostatniego natarcia na sztab Tity, który w pełnym składzie usiłował bitłerowcy dostać w swoje ręce. Partyzanci jednak przełamali kordon przeciwnika i wycofali się w góry. Odeszliśmy i my, zalogowani z nielicznymi tego typu stacjami meteo, jakie działały w okupowanej Europie. Już po wojnie słyszałem nieraz ciepłe słowa pod adresem nas i naszej pracy. Wypowiadali je lotnicy latający nad walczącą Jugosławią. Serca wtedy w nas rosły i jeszcze pełniej rozumielismy, że również my, hydrodzy i meteorodzy, byliśmy w tej wojnie takimi samymi żołnierzami jak ci, którzy walczili z bronią w ręku.

ZINOWIJ KANIEWSKI

Przekład:
BOHDAN PIĄTKOWSKI

AKCJA PAULUS

ZAKOŃCZENIE

Oficer radzieckiego wywiadu Samsonow przetrząsnął listy na tyły wroga, gdzie udało mu się wejść w kontakt z wywiadem hitlerowskim. Jako „agent” wroga powraca na stronę radziecką z zadaniem. Towarzyszy mu współpracownik — Stepan. Samsonow nawiązuje kontakt z radzieckim kontrwywiadem i przystępuje do „wykonania” zadania.

AKCJA ROZWIJA SIĘ

Porucznik wstał wczesnym rankiem. Po śniadaniu przygotował kolejny meldunek. Stupko wystukał go w eter. Przekazał przekazane polecenie. Agenci mieli zorientować się dokładnie, w którym domu przebywa feldmarszałek i ilu żołnierzy znajduje się w stacji. Informacje te Samsonow uzyskał jeszcze tego samego dnia od Ustinowa.

— Wiesz, wczoraj we wsi Sadki aresztowaliśmy „lejtanta Szypowa” i jego pomocnika. Zidentyfikowano ich według twoich wskazówek.

— Psiakrew! A jednak zrzucili ich!

Obaj rozmówcy nie wiedzieli, że operacja zmierzająca do uwolnienia von Paulusa interesowała się codziennie niemieckie Oberkommando, a meldunki na ten temat wędrowały na stół samego Hitlera.

— Jak widzisz, Seliger sprawdza informacje o feldmarszałku różnymi kanałami. Przekaz mu zresztą przy okazji wiadomość, że po wsi krąży pogłoski o aresztowaniu we wsi Sadki dwóch niemieckich szpiegów.

JUTRO GOŚCIE

Ktoregoś dnia w odpowiedzi na meldunek nadeszła odpowiedź: „Spodziewajcie się jutro rano gości”. Dalej zawarte było hasło i odzew.

Przybyło trzech facetów. Stanęli przed domem, rozejrzeli się i poczępali schodami w górę. Próg przestąpił mężczyzna wzrostu ledwie średniego o wypięgniętej twarzy. Pod kolanem półkołuszka dostrzec było

można prostokątny czerwony emblemat kapitana.

— Porucznik Zimagin? — zapytał.

— Na rozkaz!

— Przybywam z wydziału saper-

skiego sztabu frontu. Mamy porównać mapy pól minowych.

To było hasło.

— Zgoda. Niech pan wejdzie, poka-

żę panu moje mapy — powiedział Samsonow.

Tak miał brzmieć odzew.

— Bielicki — przedstawił się kapitan. Miał około czterdziestki, cha-

rakterystyczny był wyszukany ma-

nierym i świetną znajomością rosyj-

skiego. Za nim postępował wysoki, chudy major, który przedstawił się jako Rudolf. Trzecim był radiotele-

grafista w mundurze szeregowca.

Gospodarz domu Zawielicz popro-

wadził gości do sąsiedniego budynku.

Po godzinie podążyli tam również Samsonow i Stupko. Rudolf i Bielicki

siedzieli przy długim stole, przed ni-

mi leżała mapa. Bielicki wypyttywał o garnizon w sąsiednich wsiach,

połączenia telefoniczne, miejsca za-

kwaterowania komendantów i mili-

cji. Następnie zażądał szczegółów o

domu, gdzie przebywa von Paulus i o strażnikach.

Rudolf traktował kapitana z dużym

respektem. Samsonow zorientował się,

że Bielicki jest dowódcą grupy. Kapitan

poprosił Samsonowa o przeba-

danie pól położonych o trzy kilome-

try od stacji. Chodziło o ukształto-

wanie terenu i twardość powierzchni.

BYŁ KONIEC LUTEGO

Po południu słońce przygrzewało już nieźle. Śnieg pociemniał i zanikał. Samsonow przez trzy godziny chodził po polach i przekonał się, że nadają się do zrzucenia grupy dywersyjnej.

W stacji zastał porucznika zmierzch. Złożył najpierw wizytę ma-

jorowi Ustinowi. Po wysłuchaniu

sprawozdania o gościach, major o-

świadczył, że w czasie nieobecności

Samsonowa Bielicki poszedł do Sa-

warykina, prawdopodobnie chciał sam

obejrzeć garnizon i warty przed do-

namami.

Major wyciągnął z kieszeni pistolet

„Walter”, wręczył go porucznikowi.

— Nie wierz swoim „gościom”. Ob-

serwujemy każdy ich krok. W twoim

sąsiedztwie mieszka kapitan Jegory-

czew. Jeśli by się paliło, pobiegnij

do niego.

Dla kontrwywiadu radzieckiego za-

czyły się gorączkowe dni. Czekano na

każdy nowy krok Seligera. Na wy-

padek zrzucenia oddziału spadochro-

niarzy w pogotowiu były jednostki

piechoty i czołgów. Współpracownicy

Ustinowa nie spuszczały wzroku z do-

mu, gdzie przebywała grupa Bielic-

kiego. Najgorzej miał Samsonow, czuł

ciągłe nieufność kapitana. W obecno-

ści porucznika Bielicki zasypywał

Stupkę gradem pytań, wciąż od nowa

badając Zawielicę i Annę Miefodiew-

nę. Porucznik Samsonow zrozumiał,

że jeden jego fałszywy krok może o-

kazać się tragicznie w skutkach.

Samsonow z Bielickim i Rudolfem

udał się na pola. Kapitan zabrał po-

rucznika w celu opracowania szcze-

gółów. Posiadał go na miedzę, aby usta-

lić dokładnie długość pola. Po prze-

bieściu pięciuset metrów Samsonow od-

wrócił się. Długi Rudolf wymierzał

krokami szerokość pola. Robił notat-

ki, wyglądało że szuka odpowiednio-

go miejsca. Być może ławiska dla

samolotów. Rudolf był prawdopodob-

nie inżynierem, specjalistą od lotnisk.

Zawodowy szpieg Bielicki pochodził

niezawodnie z białogwardyjskiej ro-

dziny.

Bielicki polecił Samsonowowi, aby

raz jeszcze obszedł pole i obejrzał,

czy nie ma dołów i wypukłości. Sam

udał się wraz z Rudolfem do stacji.

Ponieważ porucznik wracał później,

mógł odwiedzić Ustinowa, który przy-

glądał się eskapadzie przez lotnetkę.

„Goście” szukają miejsca na lotni-

sko. Teraz to już nie potrwa długo.

Następnego dnia Bielicki i Rudolf

poszli znów na pole. W ostatniej

chwili zabrali ze sobą radiotelegrafi-

stę. Porucznik otrzymał polecenie od-

poczywania.

Major Ustinow ze swoimi ludźmi

udał się w ślad za Bielickim. Mieli

na sobie białe maskujące ubrania i

posuwali się skokami. Po pół godzinie

rozległ się warkot samolotów. Major podniósł do oczu lotnetkę. — Radiotelegrafista! Podajcie meldunek: W naszym kwadracie trzy faszystowskie maszyny. Natychmiast zaalarmować kompanię karabinów maszynowych.

Samoloty zatoczyły koło i zeszły niżej. Następnie uniosły się i odleciały na zachód. To była więc tylko próba.

W tym czasie Samsonow dobrze wypoczął. Po południu udał się do kapitana Bielickiego, który popijał koniak z Rudolfem. Porucznik zapytał o rozkazy.

— Dziś nie ma już nic do roboty, jutro rano pogadamy o dalszych obowiązkach.

WPADKA

Spotkali się jednak jeszcze tego samego wieczoru. Na progu stanął nieoczekiwanie Bielicki.

Załatwione, poruczniku, skończyliśmy naszą pracę — powiedział sucho. — Wycofujemy się, szef ściga nas z powrotem.

— Dlaczego? — zapytał nie rozumiejący z tego Samsonow.

— Stawia pan głupie pytania. Oto

mój rozkaz: Za godzinę spotkamy się na skraju wsi. W obłąd będziemy na

stacji Iljowa.

Samsonow pojął, że zaszyły ważne

zmiany, o których go nie poinformo-

wano. Stupko zapytał, co się stało.

— Zmywamy się — oświadczył po-

rucznik. — Idę do Bielickiego omó-

wić trasę.

Opuścił dom. W sąsiednim budynku

był kapitan Jegoryczew. Natychmiast

zatelefonował do Ustinowa. Major

przybył po kilku minutach.

— Bielicki oświadczył, że szef od-

gwiżdżuje nas do domu — powiedział Samsonow.

— To mu się nie uda!

Major polecił aresztować Stupkę i

grupę Bielickiego przy opuszczaniu

stacji.

— Przekleśte diabły! — zdenerwo-

wał się Ustinow. — Prawdopodobnie

wykruli, że von Paulusa tu nie ma.

— Jak to? Gdzie w takim razie

jest feldmarszałek? — zapytał Sam-

sonow.

— Już 9 lutego przetransportowano

go do Moskwy. Dokładnie do Kras-

nogorska pod Moskwą. Nasza akcja

była mydleniem oczu Niemcom. Ab-

wehra zorientowała się o tym wido-

cznie dopiero dzisiaj i natychmiast

odwołała Bielickiego.

ALEKSANDER RUSS



„KOCHANEK LADY CHATTERLEY”

W tych dniach otrzymaliśmy z Ministerstwa Oświaty i Wychowania poniższe pismo:

„Gabinet Ministra Oświaty i Wychowania przesyła w załączeniu anonimową skargę dotyczącą opublikowanego w nr 4 tygodnika z dnia 24.I.1974 r. fragmentu powieści D. H. Lawrence’a „Kochanek Lady Chatterley” — do ew. wykorzystania.

Wicedyrektor Gabinetu Ministra mgr. M. NOWAKOWSKI”

A oto treść anonimów

Panie Ministrze! Chcielibyśmy zwrócić uwagę Pana Ministra na 4 numer łódzkiego „Odgłosów” z dnia 24.I. i na fragment powieści Lawrence’a, drukowany na ostatniej stronie tego tygodnika w przekładzie Br. Zielinskiego.

Jakże my, nauczyciele, możemy wychować młodzież naszą na zdrowych moralnie ludzi Polaki Ludowej, jeżeli jej się podaje bezcennie takie pornograficzne plugastwo? Jesteśmy dalecy od wszelkiej prudencji i zaoferować, ale niepokoi nas taka literatura, podawana w czelowym tygodniku naszym dziewczętom i chłopcom. Komu to potrzebne — zapytujemy i prosimy gorąco Pana Ministra, by tę rzecz przestudiował i zajął jednoznaczne, rozsądne, odważne stanowisko.

Nauczyciele i nauczycielki m. Łódź Łódź, 24.I.74

Do redakcji nadeszła również list — napisany tym samym charakterem pisma!

Panie Redaktorze!

Jesteśmy zdumieni bezczelnością i głupotą Redakcji „Odgłosów”, która dopuszcza do wydrukowania fragmentu powieści Lawrence’a w 4 numerze tygodnika w przekładzie Br. Zielinskiego. Chyba redaktor odpowiedzialny nie czytał tego plugastwa i dał się po prostu wywieść w pole tłumaczowi? Bo komu potrzebna u nas w Polsce Ludowej, taka obrzydliwa pornografia? Przecież „Odgłosy” czyta młodzież szkolna i jakże my, nauczyciele, mamy ją wychować w takich warunkach, gdy podaje się jej taką strasną diuchowę jako codzienną lekturę? Czy Was nie wstyd drukować takie obrzydliwości, jakie się czują Wasze córki i synowie (jeżeli je macie), czytając takie lubieżne paszkwile? Pan Zielinski niech się sobie upaja w wyobraźni (chorej) takimi obrazami, ale niech nie zatrąwa naszych dzieci!!!

Nauczyciele i nauczycielki liceum nr XIX

Publikujemy oba listy, zachowując styl i ortografię oryginałów. Na temat meritum sprawy pisaliśmy w numerze 7 „Odgłosów” i nie będziemy powtórnie wyjaśniać rzeczy oczywistych. Możemy tylko wyrazić zdziwienie, że jedna i ta sama osoba (czy grupa osób) raz występuje w imieniu własnym — raz reprezentuje opinię setek łódzkich nauczycieli. A w ogóle to w szkole nas uczono, że anonimowy są rzeczą niedogodną.

PUSTA ZIEMIA

W związku z artykułem „Pusta ziemia”, który ukazał się w „Odgłosach” nr 1 z 3 stycznia 1974 roku przesyłam następujące wyjaśnienie:

Całość akt sprawy dotyczących ob. Eugeniusza Nowaka zam. we wsi Ichniów nr 34 pow. Sieradz z informacją na podniesione zarzuty w skardze skierowanej do Komitetu Centralnego PZPR zostały przesłane do ponownego rozpatrzenia do Wydziału Gospodarki Przestrzennej i Ochrony Środowiska Urzędu Wojewódzkiego w Łodzi pismem z 10 stycznia 1974 r. za nr B.440/28/72.

Ponadto informuję w oparciu o uzyskane dane od pracownika Banku Rolnego w Sieradzu, ob. Andrzeja Bednarskiego, że ob. Eugeniusz Nowak nie złożył wniosku w sprawie kupna działki budowlanej, którą Bank Rolny w Sieradzu posiada do sprzedaży za nr 188 o pow. 738 m kw. we wsi Janiszewice od 29 września 1973 r. do chwili obecnej.

mgr inż. HENRYK ANTOSIAK
Z-ca Naczelnika Powiatu

JANUSZ MONAT, Łódź. Za list w sprawie artykułu Andrzeja Makowieckiego „W sobotę wieczorem zaczyna się piekło” serdecznie dziękujemy. Jak również za uroczyste porzekadło starobuddyzjskie. Nie radzimy jednak za następny raport Andrzeja Makowieckiego pisać kilka „patyków” pisanych, bo to niezdrowo. Powinien Pan zresztą o tym wiedzieć, gdyż prawdę tę głosi inne starobuddyzjskie porzekadło.

W sprawie hotelu „Forum” polecamy lekturę artykułu Daniela Passenta „Taniec z piórami” — „Polityka” nr 7, 16.II.1974, str. 16.

STAŁA CZYTELNICZKA St. C. Łódź. Widz może powiedzieć sobie i innym: ta sztuka, ten film mi się podoba, lub mi się nie podoba. I nie musi tego argumentować. Krytyk ma inne zadanie. Jego obowiązkiem jest wyrażenie słabości (lub zalet omawianego utworu). Bywa przecież i tak, że krytyk pisze z przekonaniem, iż utwór będzie cieszył się popularnością, choć ma takie i takie braki. Krytyk pragnie pomóc odbiorcy w zrozumieniu utworu, prezentuje swoje zdanie na temat tego czy innego utworu, co jednak nie znaczy, że wszyscy muszą się z tym zdaniem zgadzać. Wśród krytyków panują też różne poglądy i czasem dochodzi do ostrych sporów. Ma to również pomagać odbiorcom w wyrobieniu własnego spojrzenia na dany utwór. I im więcej jest takich sporów tym lepiej dla sztuki.

Dziękujemy za uwagi pod adresem Jerzego Kwiecińskiego i jego recenzji z występów Teresy Kubiak.

JERZY STEPANIAK, Warszawa. Nie skończyliśmy.



W kulisach Teatru Wielkiego wystawia swoje karykatury Stanisław Ibis-Gratkowski, autor wydanego w roku ubiegłym w Wydawnictwie Łódzkim albumu karykatur ludzi sztuki, nauki, kultury, którzy związani byli lub są z Łodzią; ponadto autor



nieżliczonej ilości rysunków satyrycznych, od wielu lat jeden z czołowych rysowników dwutygodnika „Karusela”.

O swoim albumie Ibis-Gratkowski powiada we wstępie: „W ciągu minionego ćwierćwiecza około dwóch tysięcy osób było obiektem moich zainteresowań i praktyk plastycznych. Po latach część z nich znakomicie wytrzymała próbę czasu, inne się nie sprawdziły. Musiałem więc jednych rysować na nowo, inne odpady zupełnie, co nie przynosił ujemny rysownik, a jedynie rysunkom. Tak więc drogą selekcji i uzupełnień powstała galeria ludzi związanych z Łodzią w minionym 25-leciu. Nie wszyscy najwybitniejsi ludzie tego miasta tu się znaleźli i odwrotnie — nie wszyscy którzy tu się znaleźli, mogą być uważani za najwybitniejszych. Autor dając pewien wycinek swoich osobistych spotkań, daleki był od zarożumiałości, pragnął jedynie przedstawić ludzi, których lubi i którzy — jak sądził — cieszyć się mogą zainteresowaniem czytelników”.

Zaś o sobie samym Ibis-Gratkowski tak pisze:

„Nazwisko moje wskazuje na parantelę z czczonym w Egipcie ptakiem Ibisem, stąd pewne wpływy sztuki egipskiej w mojej karykaturze, przejawiające się w profilowym ujmowaniu rysunku twarzy. Rzecz jasna, że staram się przezwyciężyć te wrodzone nawyki, rysując dla kontrastu od czasu do czasu en face. Od 25 lat mam na warsztacie, papier, tusz i oryginalne pióro Ibisa, dzięki czemu, jak można zauważyć, moje rysunki są pełne finezji. Jeśli zaś, drogi czytelniku, niektóre karykatury nie znajdują twego uznania, bądź wyrozumiały dla autora, albowiem najłatwiej jest rysować zera”.

Na wystawie w Teatrze Wielkim spotykamy więc starych znajomych: Kotarbiński, Szczepański, Mackiewicz, Broniewski, Nałkowska, Liberski, Piechal, Huszcza, Koprowski... Aktorzy, malarze, pisarze, muzycy, poeci, filmowcy... Rysowali są czystą, precyzyjną kreską, która trafnie wydo-

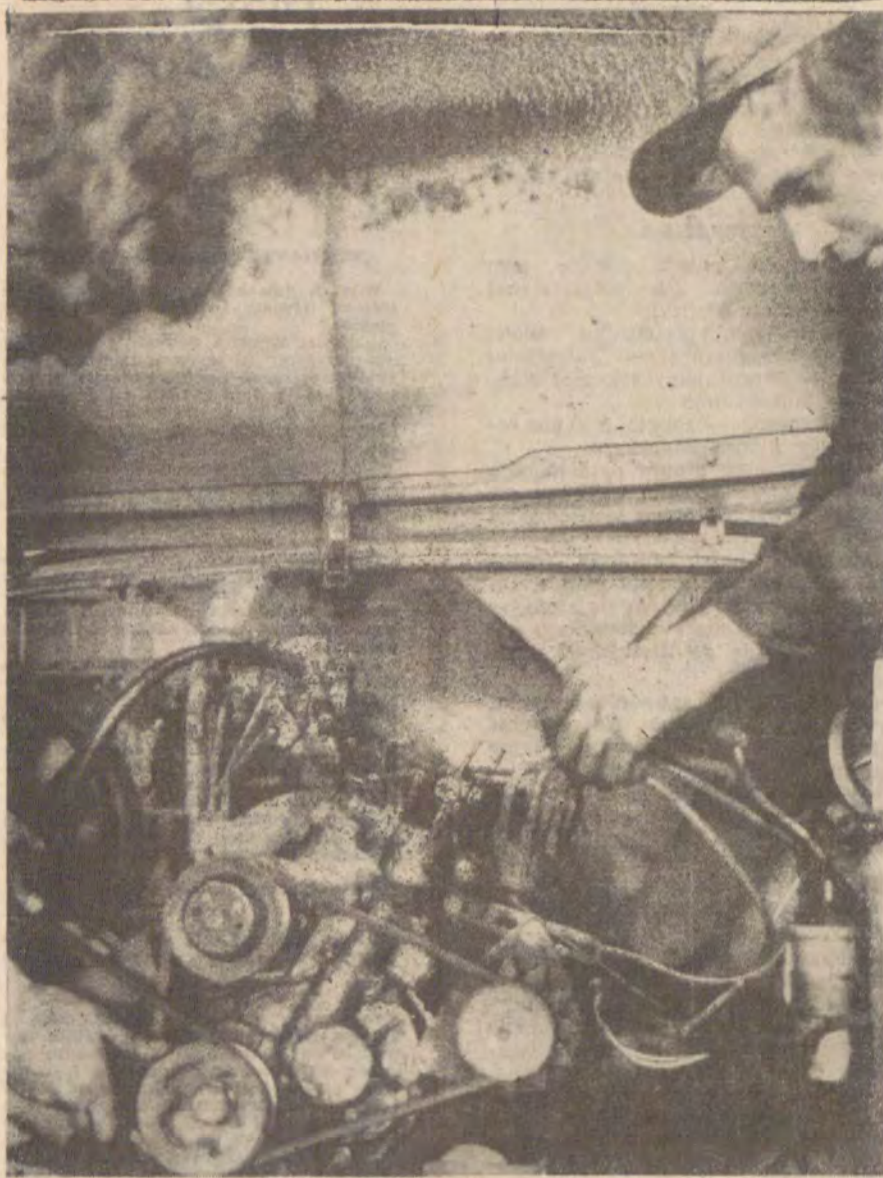
bywa charakterystyczne cechy modeli. Gratkowski rysując uśmiecha się łagodnie, czuje się, że darzy on sympatią prawdziwą ludzi, których utrwała swym wprawnym piórkim. I nam się każe uśmiechać, a dzięki tym jego rysunkom owe sławne postacie stają się nam bliższe, jeszcze bardziej znajome.

ANDRZEJ GRUN



KONSTANTY MACKIEWICZ

USŁUGI



Fot. W. Parys

— Stare i dobre są tylko wina, obrazy i skrzypce. Nigdy auto — powiedział na wstępie z rozbrajającą szczerością mechanik samochodowej stacji obsługi.

Jasnopopielaty „Trabant” z „zielonym liściem” prezentował się jednak zupełnie inaczej. Chodziło o naprawę zacinającego się szybkościomierza. Coś tam jednak musiało być, skoro wskazówka wychylała się tylko do „czterdziestki” i czasami nawet po zatrzymaniu silnika nie opadała. Do zera wracała ją tylko mocne uderzenie w deskę rozdzielczą, gdzie wmontowane są wszystkie zegary.

Wyglądało to nawet zabawnie. Temu, kto pierwszy raz siadł po prawej stronie, na przednim fotelu oczy wychodziły z orbit, kiedy przy szybkości 40 km/godz. samochód wyprzedzał jadące ulicą autobusy MPK, czy inne włokące się zbyt wolno wozy osobowe.

Oczywiście wskazań szybkościomierza nikt nie traktował serio. Nie traktował i właściciel, ale dopiero wtedy, kiedy zapłacił mandat za przekraczanie szybkości na ulicy Wólczańskiej i uświadomił sobie, że zegar jest niesprawny.

Milicyjna „Wolga” z radarem ustawiona była tuż za skrzyżowaniem z ul. Worcella. „Trabant” je-

TRABANT ZE ZWARIOWANYM ZEGAREM

chał „na tylnym zderzaku” autobusu pośpiesznej linii „D”. Zapłacili obydwaj. Po 200 zł. Trabanciarza puszczono przy okazji o konieczności utrzymywania tzw. bezpiecznej odległości...

Bez szybkościomierza „zielony liść” jeździł jeszcze dwa tygodnie. Taki bowiem wyznaczono termin reperacji. Renomowana, spółdzielcza stacja obsługi gwarantowała szybko i solidną naprawę.

Po załatwieniu wymaganych formalności, wypisanu przez kasjerkę zlecenia i włożeniu kartki pod wycieraczkę na przedniej szybie — właściciel rozejrzył się za brygadzi-
stą.

Majster zapytał krótko:
— Szybkościomierz? Proszę przyjąć za dwie — trzy godziny. Powinno być gotowe.

— Jasiu! — rzucił do pomocnika. — Wykręć z tego „Trabanta” zegarek. Sam zaś spokojnym krokiem odszedł do seledynowego „Fiata 125p”.

Po trzech godzinach „Trabant” stał w tym samym miejscu, ale majster uśmiechnął się promiennie i rzekł:

— Załatwione. Szerokiej drogi i gumowych drzew! Silnik zaskoczył momentalnie i wskaźnik szybkościomierza drgnął. Za bramą, na prostej, właściciel urządził próbę, posuwając się do przekroczenia przepisów. Ulicą Nawrot jechał nawet „siedemdziesiątką”. Zegar wskazywał normalnie...

Podczas skręcania z ul. Zamenhofa w al. Kościuszki rozległ się gwizdek milicjanta, który stał na krawędzi chodnika i machał ręką zapraszająco...

W jednym momencie kierowcy przypomnieli się wszystkie grzechy dzieciństwa. Poczuł ciarki i lekkie odrętwienie, chociaż jego umysł pracował z błyskawiczną precyzją. O co chodzi? — myślał gorączkowo. Skręt wykonany był przecież prawidłowo. Dokładnie tak samo, jak podczas egzaminu na prawo jazdy, który zdawał na tym samym odcinku.

Milicjant zasalutował i rzucił stanowczym tonem:
— Obywatelu kierowco! Dlaczego nie sygnalizujecie manewru skręcania? Proszę prawo jazdy i dowód rejestracyjny...

Kierowca aż wgniół w wrażliwa. Zatrzeszczał fotel. Co to znaczy „NIE SYGNALIZUJECIE MANEWRU SKRĘCANIA”? Przecież to podstawowy obowiązek.

— Panie wladzo! Głowę daję, że nie głowę, ale powiedziałem zegarek, że sygnalizowałem.

— No, dobrze, dobrze, przerwał milicjant. Każdy mówił samo. Proszę właściwie kierunkowskaz. Lewy... teraz prawy. Jeszcze raz prawy. Prawy proszę! Nie ma?

— Jak to nie ma! Mam kontrolkę... Światło pulsuje normalnie...

— W takim razie bardzo proszę. Niech pan wyjdzie i spojrzę... Musiała przepalić się żaróweczka...

— Dobrze, panie wladzo. Zaraz wymienię.

Nie minął kwadrans i czynność była zakończona. Jednak i tym razem bez rezultatu. Nowa żaróweczka nie zapalała się. Bezpieczniki były dobre. Milicjant zabierał się do wypisywania mandatu.

— Zanotować na odwrocie pańskie nazwisko i charakter wykroczenia? Zapytał kierowcę.

— Nie trzeba. Właśnie wracam z warsztatu, gdzie reperowali mi szybkościomierz. Tutaj mam rachunek. Proszę spojrzeć — jest dzisiejsza data.

Milicjant popatrzył podejrzliwie, z przebiegłym zawodowym dociekliwością i po chwili rzekł: Jedź pan z reklamacją. Samochód jest technicznie niesprawny. Spółdzielcza stacja i tak balagan... Niech poprawia, a potem omijaj pan to miejsce z daleka. Jest przecież tyle innych stacji, chyba że jeździ pan tam stale...

— Ja? skąd? pierwszy raz — powiedział „trabanciarz”.

— Lewy kierunkowskaz jest sprawny — mówił funkcjonariusz. Można skrócić tylko w lewo. Najlepiej alejami do Andrzejki i z powrotem do Zamenhoffa. Dalej już prosto!

W warsztacie reklamacja powitana została z chłodnym dystansem. wręcz nawet niechętnie.

— U nas nie ma lipy. Zaraz sprawdzimy, Jasiu! co żeś tu naknocił?

— Panie majster. Wszystko musi być w porządku. Widać, że „zielony” to i nie wie dokładnie. U mnie nie ma to — tamto. Kierunkowskaz? Zobaczymy! W zegarze jest dobrze. Ten typ (pokazał wzrokiem samochód) to ma. Jedno wejście, a końcówkę jak w dupie patyków — gdzieś pod nosem. Trzeba sprawdzić masę. Oderwał się drut i od razu drakał! Wreszcie zabrał się do roboty. Zajął pod deskę rozdzielczą, wymontował jeszcze raz zegar, coś wykrecił, coś przykręcił, sprawdził migacze i powiedział: GOTOWE.

Jednak i tym razem naprawa okazała się niezupełna. Po zapuszczeniu silnika i przejechaniu kilku dosłownie metrów — wskazówka szybkościomierza zaczęła oscylować w granicach 120 km, chociaż auto jechało nie więcej niż 10–15 km/godz. Wyglądało, że przedkościomierz zamienił się w miernik obrotów silnika.

Właściciela zatkało. Naprawiali przecież fachowcy — ludzie w rzemiosle otzaskani.

Sprawa przybrała zdecydowany obrót. Klient zagroził skargą. Do naprawy zabrał się majster. Po długotrwa-

lej dłubaniu rozłożył bezzadnie obie ręce.

— Walek wskaźnika jest pęknięty. Raz łapie — raz nie. Nic nie poradzę. Trzeba nowy zegar...

— A z tym nie już nie da rady zrobić? — zapytał właściciel.

— Jak ma pan czas — to spróbuj. Zabiorę do domu. Wóz trzeba zostawić na dwa — trzy dni. Zresztą zobacz, może jutro...

— Dobrze. Ile?

— Trzy stowy i po bólu.

— Zastanów się.

— No to bierz pan auto i zajrzyj do „Motocybistu”.

Właściciel „Trabanta” z „zielonym liściem” odjechał. Zanim trafił do sklepu PP „Motocybist” zawiadził o jeden z prywatnych warsztatów obsługi. Naprawa trwała niespełna godzinę. Zepsuty szybkościomierz okazał się sprawnym.

Pozostaje więc tylko garść refleksji. Od szeregu lat sytuacja zaplecza technicznego łódzkiej motoryzacji nie zmienia się. Usługowa podaż nie nadąża za popytem. Wprawdzie program rozwoju sieci placówek obsługi przewiduje budowę nowych obiektów, ale jest to przysłowiowa kropka w morzu potrzeb. Cykl inwestowania jest zbyt długi, a co najważniejsze — nie rozwiązuje istoty rzeczy.

Aktualnie w Łodzi zarejestrowanych jest ok. 30 tys. samochodów osobowych, z czego 80 proc. — to auta prywatne. Sieć placówek usługowych motoryzacji liczy sobie w całym mieście 204 stacje, w tym 188 warsztatów prywatnych. Wyposażenie większości z tych ostatnich pozostawia sporo do życzenia. Króluje prymitywizm — „młotek i mecie”. Regulacja hamulców odbywa się „na oko”, ustawianie zbieżności kół — na patyk. Nie więc dziwnego, że w warsztatach sektora uspołecznionego i państwowego tworzą się tasiemcowe kolejki oczekujących naprawy. Terminy na niektóre rodzaje usług liczą się w tygodniach. Aby polakierować samochód — trzeba w styczniu czekać do kwietnia. Partanina szerzy się w zaskakujący sposób.

Jest jednak rzecz najciekawsza, którą warto sobie uświadomić. Ci sami mechanicy, pobierający urzędowo pieniądze za brakoróbstwo — wykonują chętnie rzetelną pracę w ramach własnego, domowego hobby. Zna się przecież przypadki dokręcania śrub w państwowych warsztatach młotkami, czy poprawianie zamków w drzwiach samochodu młotkiem i przecinaklem.

Zaplecze łódzkiej motoryzacji wymaga, podobnie zresztą jak i w całym regionie radykalnej naprawy.

JERZY GALĘBA

Dalszy ciąg ze str. 1

się tam żarzy, co daje dziesiątkom i setkom tysięcy, a może milionom najbardziej potrzebnych do odrobiny niezbędego do życia ciepła? Co jest tym najpowszechniejszym opalem i źródłem światła zarazem, co pozwala przeżyć ciężką zimę?

Wiedziałem na wsi spore stado krów, z których część miała rogł pięknie pomalowane czerwono i żółtą farbą. Opiekował się nimi pastuch w towarzystwie kilkorga dzieci. Za stadem wędrującym rowami porośniętymi rachityczną trawką, szła kobieta w granatowym sari i zbierała świeży nawóz gromadząc go najpierw w jednym miejscu, potem — także gołymi rękami — wkładała cenny ładunek do plastikowego kosza, który zgrabnie stawiała na głowę przykrytą płachtą i szła pięknym, eleganckim krokiem w kierunku wioski. Widziałem placki formowane ręcznie z tego nawozu, a następnie przyklejane do jakiegobądź ściany, także w mieście, także w stolicy, albo po prostu rozkładane na kawałku wolnej przestrzeni. Suche odpadały od ścian i wtedy jeszcze budowano z dwu sąsiednich jakby domki z kart dla dalszego schnięcia. Gotowe gromadzono w stos pięknie ułożony. A potem cniłopy na wielkich tacach niesionych na głowie dostarczali gołowy opał gdzie trzeba...

Krowa jest więc naprawdę stworzeniem godnym nie tylko troskliwej opieki, ale i szacunku. Pomyśli o tym przez chwilę, tuż przed ironicznym uśmiechem, czy głupia uwaga o tym.

Na chodniku wyłożonym zwykłymi betonowymi płytami, pod podcieniami chroniącymi przechodniów w dzień przed palącym słońcem, w centrum Delhi, na przestrzeni ok. 200 metrów naliczyłem wieczorem 270 śpiących przykrytych derkami mniej lub bardziej grubymi. To dziwne jak mały może być człowiek, kiedy jest od stóp do głów przykryty czymś takim kiedy kuli się z zimna i kiedy

od stygnącego nocy cementu dzieli go tylko mikroskopijnej grubości spłachetek tkaniny.

Niektórymi wstrząsają ataki kaszlu. Tu i ówdzie kilka postaci, w mroku nie sposób rozróżnić czy sami mężczyźni, przykucnięci pod ścianą. W ciemnościach żarzą się ogniki papierosów. Nie słychać żadnych rozmów. Ktoś odwrócony twarzą do ściany modli się zyczającem mułmańskim bijąc zamaszyste pokłony ku zachodowi, ku świętej Mekce. To małe, jakże maleńkie zawiniątło zawiera dziecko, które niewątpliwie tu, na ulicy zostało poczęte, tu przyszło na świat i niechybnie tu poczęło swoje dzieci, jeśli uda mu się dożyć odpowiedniego wieku...

Przejdźmy ulicami wielkiego indyjskiego miasta, spojrzmy w górę, na szczyty domów, tam gdzie ploną i migocą fantazyjne neony reklamujące banki, wielkie światłowe koncerty i znane także u nas firmy. Tam świat interesu — tu problem świata.

Zarządzać światem krowy to skazać na śmierć owych mieszkańców wielkich miast żyjących pod gołym niebem. Skazać na śmierć tych wychudzonych mężczyzn, kobiety i dzieci, którym do życia potrzeba tak mało, i którzy tak mało od życia mają, ledwie tę odrobinę ciepła by uwarzyć strawę, ledwie tę odrobinę żaru by ogrzać marznące dlonie, ale są przecież ludźmi, jak ty i ja...

Wszyscy szukają recepty na podżwignięcie Indii. Szyka ich rząd, któremu nie ułatwiają sytuacji rozliczne strajki. W „The Times of India” na pierwszej stronie oglądałem rysunek przedstawiający Indrę Gandhiego bijącą głową o mur zbudowany z cegieł z napisami. „Strajk India Airline”, „Strajk pracowników gospodarki komunalnej”, „Strajk nauczycieli”, „Strajk generalny w Bombaju”. Przypadkowo spotkałem na ulicy przedstawiciela jakiejś firmy farmaceutycznej handlującej, jak się okazało, także z Polską powiedział mi ironicznie, że w Indiach wszyscy strajkują na raz lub po kolei.

Wszyscy szukają recepty na podżwignięcie Indii. Poszedłem w to „wiel-

kie Delhi”, najpierw chodnikiem wyłożonym płytami jak u nas, potem już po ziemi pokrytej lotnym pyłem, koło jakiejś zapuszczonej świątyni, czy może jakiegoś seminarium duchownego jednego z bardzo wielu wyznań, potem przez wyłom w glinianym, białym murze, na wielki plac, skwer, gdzie pośrodku migły barwne żarówki i strużki światła wspięły się na szczyt jakiejś wieży.

Jeszcze wcześniej, gdy jechaliśmy z lotniska, zauważyłem wśród krzyjących barwanymi tablic reklamujących „Coca-cola” i jakieś filmy i jakieś maszyny, także prosty napis: „World Renewal Spiritual Fire Festival” — Światowy Festiwal Odrodzenia Duchowego Ognia.

Przeszedłem przez wysoko zbudowaną z żerdzi i materiału bramę, niby luk triumfalny, kolorowy i krzyżący kolorami i znalazłem się na wielkim placu wokół którego ciasno jeden przy drugim stały namioty-szalasypawilony. Wszystkie ozdobione rozmaitymi symbolami, chorągiewkami, chorągiewkami i planszami w „kolorach naturalnych”. Zwróciła mi ją uwagę, i — te nasze polskie obsejsje — wstrząsnęła niemile, okazała swastyka, nad którą powiewała jakas chorągiew. Wiedziałem wprawdzie, że to Hitler Hindusom skradł ten prastary aryjski (także słowiański) symbol rasy, ognia i słońca, ale jednak nie można się było opanować...

Było pustawo. Wyszedł mi naprzeciw jakiś bardzo schludny mężczyzna, niewysoki, w ciemnym garniturze i spytał czy chcę zwiedzić teren festiwalu. Powiedziałem, że oczywiście tak, choć obawiałem się, że może zażądać opłaty za wstęp, a naprawdę nie miałem ani rupii na jarmarczne imprezy.

Prosił abym wpisał się do księgi pamiątkowej. Wpisałem się „Pleno tytuło”, mówiąc mu jednocześnie kim jestem. Ozywił się: „Zaraz poproszę przewodniczkę. Ona oprowadzi pana i objaśni szczegółowo nasze zasady...” Była brunetką odzianą w białą

szatę (sari?). Niewielkiego wzrostu, z ogromnym warkoczem sięgającym pasa. Smagła o małych, grubych dłońiach z krótko obciętymi, niemałowymi paznokciami. Mówiła cicho, patrząc uważnie wielkimi ciemnymi oczami prosto w oczy rozmówcy. Była więcej niż ładna i więcej niż poważna ta moja przewodniczka po świecie duchowego ognia. Nazywała się B. K. Shanti, ma lat 21 i jest studentką Uniwersytetu Religijnego w Delhi.

Poszliśmy od pawilonu do pawilonu. We wnętrzu każdego na ogromnych malowanych olejno planszach, w sposób poglądowy, przy pomocy rozmaitych życiowych sytuacji, nawiązywałam ale zawsze przejrzyście symboliką wyłożono zasady tej religii wyznania, sekty, ruchu społeczno-religijnego, który zapoczątkował w 1937 roku człowiek nazywany Prapajita Brahma (Pitashri). Człowiek ten miał widzenie, po którym stał się medium bogu Sziwy i zaczął nauczać początkowo wśród swoich najbliższych, a potem wędrując po świątyniach.

Patrzył teraz na mnie z portretu kolorowego zmarłego w 1969 roku pośrednika między bogiem a człowiekiem, siedzi ze skrzyżowanymi nogami, mleczniste oczy wazy zdołał jego twarz, jakby zbyt młoda. Ubrany jest w śnieżną szatę, nogi skrzyżowane, w pozie sposobnej do kontemplacji. W górach Abu stworzył ośrodek kultu dziś dość rozpowszechnionego w Indiach i — jak się zdaje — dysponującego sporymi funduszami.

Jaka jest ta recepta na podżwignięcie Indii i uratowanie świata? O wszystkim decyduje charakter człowieka. Mężczyzna, który widzi tylko ciało kobiety — jakże mały jest jego charakter! Człowiek, który ma charakter zwycięży śmierć, która dla niego będzie tylko zmianą stanu, przejęciem duszy z jednego welecia w drugie. Dusza jest jak kierowca prowadzący samochód. Drzewo, które zlamano się i zniszczyło swe owoce, jest jak człowiek, który nie zadbał o swój charakter, nie pracował nad nim, nie dążył do jego uszlachetnienia. Są ludzie, którzy uważają, że życie po-

lega tylko na jedzeniu, spaniu, chodzeniu do kina... Czymże różni się on od zwierzęcia? Bardzo ważna jest indywidualność człowieka. Bóg nie jest wszędzie obecny, ale może być z tobą jeśli będziesz szukał z nim łączności. Komunia z bogiem Sziwą jest możliwa jeśli zerwiesz więzy ze złem i w codziennych poczynaniach będziesz szukał tej komunii. Uwaga! Bóg przychodzi aby stworzyć ponownie Niebo na Ziemi! I znowu będzie Wiek Złoty, od którego człowiek swymi nieprawościami powodował przez dzieło do Wiek Srebrnego, Brązowego, Żelaznego. Co 5 tysięcy lat bóg niszczy Ziemię za jej niepra-

ŚWIĘTE

wości, w roku dwutysięcznym Chrystus ponownie zstąpi na Ziemię — Chrystus obok Buddy, Mojżesza, Mahometa traktowany jako nauczyciel, jako medium — łącznik między człowiekiem i bezpostaciowym bogiem Sziwą.

Oto na jednej z barwnych plansz pokazano jak bogini Durga — małżonka Sziwy zabija diabły: egoizm, głód, agresywność, ciemnoty. Jeden z tych diabłów namalowany na niebiesko leży już powalony i krwawy jeźor wypuścił z odrzucającej gęby. Komunia z bogiem ma oczywiście charakter duchowy. Można ją osiągnąć ćwicząc swój charakter, doskonaląc się duchowo poprzez Jógę Królowską, poprzez zachowanie czystości, poprzez kontemplację, poprzez medytację. Na co zużywa się twoje życie? Jeśli 50 lat potrafiemy żyć 40 godzin, to 5 minut zajmuje ci dzieciństwo, 10 minut szkoła, 3 minuty zabawa, 10 minut rozrywka i praca, 13 minut sen, 3 minuty kąpiel i jedzenie, 2 minuty — kupowanie w sklepach, 4 minuty — choroby i śmierć. A na co trwonisz resztę?

Shanti prowadzi mnie następnie do niewielkiego namiotu o prostych ścianach z białego płótna i tam spotykam jedną ze współpracowniczek Prapajita Brahmy. 36-letnia pani, B.K. Prakash Mauli, gładziutko

USŁUGI

W roku 1973 łódzka spółdzielczość pracy (45 spółdzielni, kilkaset punktów usługowych) — „wyświadczyła” łodzianom usługi o wartości 327 milionów złotych. Statystyczny łodzianin wydał zatem na usługi raptem... 47 złotych. Dodajmy, że wartość usług — wg obowiązującego systemu liczenia — obejmuje zarówno koszt materiału, jak i robocizny.

W ŁZSP tempo rozwoju usług jest wyższe, niż produkcja na rynek. Jeden z kanonów ekonomicznych powiada: w każdej nowoczesnej gospodarce, po osiągnięciu pewnego stopnia uprzemysłowienia kraju, dla zapewnienia równowagi na rynku dóbr i usług — dynamika usług wypierać powinna dynamikę rozwoju przemysłu. W kilku punktach usługowych miasta zaproponowaliśmy łodzianom temat: „WYŻSZY POZIOM USŁUG — ŁATWIEJSZE ŻYCIE — WYDAJNIEJSZA PRACA”.

WŁADYSŁAW SYMCZEK,
robotnik „Arleanu”

— Usługi ułatwiają życie... Problemem tylko, na ile ułatwiają, a na ile mogłyby jeszcze ułatwiać. Długie terminy, niesolidne wykonanie, nie daj Boże wdać się w reklamację... Niedowiad usług — tak to trzeba nazywać — z pewnością odbija się na pracy zawodowej. Oddałem poszewki

się, że brak jest należytej korelacji między rozwojem motoryzacji, a jej zaplecze, bazą techniczną. Wydajmy już nawet poza problem części czy jakości i solidności usług motoryzacyjnych. Potraktujmy rzecz jeszcze szerzej — nie ma komplementarnego rozwoju usług, bo motoryzacja to weekendy, hotele i motele, wypożyczalnia sprzętu sportowego (obecnie trzy w Łodzi), mała gastronomia...

Co gorsza — ten brak komplemen-

CZY UŁATWIAJĄ NAM ŻYCIE

do pralni, niedawno kupione, pierwsze pranie. Trzy zginęły. Kosztowały po 120 zł sztuka, wyceniono je po 60. „Więcej wycenić nie możemy” — powiedzieli, więc co było robić, 180 zł to więcej niż moja dniówka. Następnego dnia pracowałem więc jakby za darmo. Jak człowieka szlag trafia, trudno dobrze pracować...

Pamiętam, obowiązywała kiedyś w handlu i usługach (te ostatnie nie nazywały się jeszcze usługami) zasada, że lepiej stracić, niż stracić klienta. Jakże bodźce stosować w usługach, by przywrócić „moc obowiązującą” tej zasadzie?

JACEK DOBRZAŃSKI,
dyrektor ŁPSPT

— Rośnie siła nabywczą ludność i zbieramy „żniwo” wieloletnich zaniedbań usług. Niedawne decyzje o zmianie cen na usługi mają spowodować przesunięcia ludzi ze sfery produkcji do usług. Trudno mi ocenić skuteczność tych decyzji, chyba jeszcze za wcześnie, no, a poza tym — nie jestem usługowcem.

Jestem natomiast użytkownikiem „Syrenki”, więc parę refleksji o motoryzacyjnych usługach. Wydaje mi

tarności przejawia się w tak prozaicznych usługach, jak np. wyłożenie łazienki glazurą (a ma pan glazurę? — pytają), czy wprawienie szyby — anegdotyczna już, choć do niedawna nagminna sytuacja. Szklarze pytali klienta o kit...

„Jak się to wszystko ma do pracy zawodowej usługobiorców? Cóż, problem bardzo trudno wymierny, chociaż realny ponad wszelką wątpliwość. Widzę tu taki „ciąg logiczny”: marnotrawstwo czasu — zniechęcenie — dezorganizacja czasu wolnego — gorsza praca. Jak wypożyczamy — tak pracujemy.

STANISŁAW S., krawiec

— Pracuję obecnie w produkcji, ale przez 5 lat byłem krawcem w Paryżu. Tamtejsi właściciele zakładów szeroko korzystają z pracy chałupników. To jakby przedłużenie, czy zaplecze zakładów krawieckich. Stąd nie ma tam problemu terminu — praktycznie każdy termin jest realny. A czy nasze spółdzielnie nie mogły również korzystać z pomocy chałupników?

Nasze krawiectwo półmłarowe trochę mnie śmieszy. Np. w Łodzi „półmłarówka” kosztowała oferując raptem dwa, trzy wzory materiałów. Przecież to nonsens — wybierze się

każdy wzór i klient już więcej „półmłarówki” nie skorzysta. To tak, jakby zatrzymać się w pół kroku...

HALINA WŁOSIAR,
pracownik biura projektów

— Generalnie uważam, że nasze usługi są kosztowne i nieruchawe. Weźmy na przykład taką oto sprawę. Dzwonię do zakładu gastronomicznego nie rozumiem podziału na handel, usługi, gastronomię — to wszystko (to usługi) obok mojej instytucji i proszę o przysłanie mi śniadania. Ot, kilka kanapek, owoce. Tak na próbę. Oczywiście zdziwienie, śmiech, i rytacja. A ja mówię, że chętnie zapłacę kilka złotych więcej, bo akurat nie mogę wyjść. Nie wierzę, że o godz. 11 z minutami jest ruch w restauracji. Po prostu personel nie czuje się „zintegrowany” z innymi interesami z zakładem. Celowo podaję panu taki nietypowy przykład, ale proszę się zastanowić, w ilu innych kontaktach z usługami widzi pan ów brak „japania klienta”. Jeśli usługa nie mieści się w cenniku, to koniec i kropka. Wtedy dopiero zaczyna się rozmowa: „Tego pani zrobić nie możemy, ale prywatnie — da pani stówę — podeślę „Nysę”. Dlaczego cenniki są tak sztywne, dlaczego faktycznie można rozszerzyć usługę, ale formalnie — nie?



Fot. W. Parys

Na nas, kobietach, niedowład usług odbija się szczególnie. Wpływ tego niedowładu na pracę zawodową? Ogromny, tym większy, im więcej obowiązków rodzinnych. A Łódź, to miasto kobiet, niestety. Jeśli roznościeli nie przyniesie mi rano mleka i dzieciaki nie dostaną swojej przewidzianej porcji — to kto zmierzy moją irytację i jej skutki?

A roznościeli nie ma wielu, chociaż 50 groszy od butelki, to nie jest suma...

Notował: **M. MISZAŁSKI**

Do tematu tego powrócimy w następnym numerze.

POL-CON

POLSKI KONTYNGENT WOJSKOWY NA BLISKIM WSCHODZIE

Dalszy ciąg ze str. 2

bowiem z Polski w 1947 r., najpierw do Kanady. Do Izraela przyjechała już z mężem, w 1960 r. Pyta, czy Kair jest ładnym miastem. Chętnie by tam pojechała, oczywiście — dodaje jako turystka. Stojący obok niej absolwent średniej szkoły muzycznej z Wrocławia, mówił że palce zeszywniały mu od naciskania spustu pistoletu maszynowego.

Może to przypadek zdarzył, ale w tym ostatnim oddziale izraelskim na 101 kilometrów, spośród wielu Żydów urodzonych w różnych miastach Polski — Warszawie, Zamościu, Białymstoku, Lublinie czy Wrocławiu — większość urodziła się w Łodzi. Wyjeżdżali z Polski w różnych latach, w różnym wieku, jako 2—3 letnie dzieci, po 5 klasie szkoły podstawowej, po maturze. Młody, zaradliwy i długowłosy żołnierz w wólczkowej, szpiczastej czapce pyta, która drużyna polska jest obecnie na czele I-ligowej tabeli. Zdziwił się, że nie „Górnik”. No cóż, dopiero od sześciu lat jest w Izraelu, ale za to od pięciu w armii. Zdobyl w tym czasie dwie zielone belki poręcznika — matura w „czwórce” przy ul. Nowotki otwarta przed nim drzwi do szkoły oficerskiej. — A co będziesz robił jak wojna się skończy? — zapytałem — Nie wiem, chyba wyemigruję do Stanów Zjednoczonych — odparł. Nie jestem jeszcze taki stary.

Rudy, kędzierzawy żołnierz, rodem z Pabianic (nie chciał podać nazwiska, jakie nosił w Polsce — nieopodal stał podoficer z żandarmerii polowej, z czerwona opaską na rękawie) ciągle dopytywał, czy wśród Polaków z jednostki ONZ nie ma pabianiczana. Nie było. Długo stał przy kolczastej zaporce, oddzielającej pozycję izraelską od neutralnego pasa. Zrobiliśmy sobie wspólne zdjęcie.

Żołnierze izraelscy, którzy kilkanaście lat temu, jako 6-letnie dzieci wyjechali z Łodzi, dopytywali, jak to miasto obecnie wygląda. Słuchali z zainteresowaniem informacji o przeobrażeniach łódzkich, nowych dzielnicach, wieżowcach śródmiejskiej dzielnicy mieszkaniowej, budowanych układach komunikacyjnych.

— W naszej prasie — mówił mi podoficer izraelski, urodzony na ulicy Wschodniej — pisze się o Polsce rzeczy, w które nie można uwierzyć. Przecież wiem, że w Łodzi, w Polsce żyje wielu Żydów, którym wcale się nie powodzi. Podobnie jak jego rodzinie — tata był prezesem rzemieślniczej spółdzielni, a mama kierowniczką sklepu tekstylnego. Siostra skończyła ekonomię na Uniwersytecie Łódzkim, a on sam chodził do żydowskiej szkoły na ulicy Kilińskiego.

Ale spoza drugiej strony kolczastych zasieków padały także zdania prowokacyjne, urągliwe, wrogie. Także po polsku, wypowiadane przez ludzi, którzy się w naszym kraju urodzili i wychowali. Ze Synaj to pozostanie na wieki przy Izraelu, że żadna ONZ czy Rada Bezpieczeństwa nie będą mu narzucać swoich decyzji, że nie po to padło parę tysięcy izraelskich w październikowej wojnie, by mieli oddawać teraz Arabom zdobyte terytoria. Słowa takie, wypowiedziane w dniu, w którym na głównym froncie bliskowschodniego teatru działań rozpoczął się — tak chyba można przewidywać — pierwszy etap procesu wypełniania rezolucji Rady Bezpieczeństwa z 22 listopada 1967 roku, żądającej wycofania wojsk Izraela ze wszystkich okupowanych ziem arabskich, miały szczególnie wyjątkowy, były echem butnych wystąpień wojskowych i politycznych „jastrzębi” izraelskich, ciągle jeszcze głoszących wizję „Wielkiego Izraela”, jako państwa wszystkich Żydów na całym świecie. A więc wojna „aż do ostatecznego zwycięstwa” — za pieniądze światowego żydostwa i przy aktywnym poparciu sił imperialistycznych.

„Ostateczne zwycięstwo” — tym sloganem, jeszcze w przededniu nieślawnego śmiertel w ruinach Kancelarii Rzeszy, zagrzewał do walki swoich współzawodników kulawy Goebbels.

Wszystkie spotkania na 101 kilometrze (odbywały się one także po 18 stycznia, czyli po podpisaniu wiążącego porozumienia egipsko-izraelskiego), były filmowane przez ekipy telewizji z Kairu i Tel-Awiwu.

Izraelskie miasta w Jotychczasowych wojnach — tej z 1967 oraz 1973 r. — nie były bombardowane i ostrzeliwane oraz palone napalmem. Miasta egipskie, w których mialem możliwość przebywać — są straszliwie zniszczone. Ismailia bombardowana była nawet po podpisaniu porozumienia o przerwaniu ognia, El Kantara, leżąca po wschodniej stronie Kanalu Sues-

kiego, jest zniszczona niemal do fundamentów. Największe zniszczenia oglądałem jednak w Suezie. Miasto brońone przez nieliczną załogę egipską zostało okrazone, ale do centrum izraelscy się do wdarli zajęli jego przedmieścia. Od ognia artyleryjskiego oraz bomb napalmowych największe ucierpiałoby budownictwo mieszkaniowe — całe kwatery budynków i willi straszą wypalonymi murami, postrzelanymi, osmalonymi palmami, zrujnowanymi i zdewastowanymi fabrykami, pozrywanych liniami wysokiego napięcia i przewodami telegraficznymi. Miasto pełne spalonych czołgów, samochodów i dział, strzypów pokrawianych mundurów obydwo walczących tu wojsk, rozłożonych gumowych rur od maszek przeciwgazowych, rozlewianych wiatrem dokumentów i porwanych książek.

Chodzimy ostrożnie ulicami opuszczonego przez Izraelczyków przedmieścia, patrząc uważnie pod nogi, czy nie wystąpił zienacka śmierz, pozostawiona przez żołnierzy Obrony Armii Izraela (taką plakietkę noszą żołnierze izraelscy, naszytą na lewej stronie munduru, powyżej górnej kieszeni), w postaci min i pułapek. Dopadają się pozbawione silników egipskie pojazdy kołowe i gąsienicowe, z wielu budynków wydobywają się jeszcze jezyory ognia. Wbrew zawartym porozumieniom, Izraelczycy zdemontowali wiele nieuszkodzonych w czasie walk urządzeń i wywieźli je. Dymiące domy, warsztaty i magazyny Suezu są potwierdzeniem stosowania przez wojska izraelskie polityki pozostawiania za sobą spalonych ziem, realizowanej również w Związku Radzieckim i w Polsce przez hitlerowców pod koniec II wojny światowej.

Wymarłe miasto. Osmałone ogniem otwory okienne domów nieskalanych jak upiorne czaszki wpatrują się w nas ciemnymi czeluściami oczodolów. Zapach spalonych włosów się w powietrzu. Nie słychać tu nawet ptaków — wyniosły się w inne, spokojniejsze rejony. Wokół pustka i cisza, przerywana tylko sykami i trzaskami dopalających się samochodów. Na ogromnym budynku, wyjątkowo nie zniszczonym, angielski i hebrajski napis głosi: „Dziś w tym domu zmarł człowiek”. Obok wymalowany zegar, wskazujący godzinę czwartą. Wyżej wymalowano dwujęzyczne, po angielsku i hebrajsku hasło: „My walczymy o pokój”.

A wokół dymy i zniszczone miasto egipskie, oddalone od Tel-Awiwu o... prawie 500 kilometrów, miasto w „imie pokoju” spalone przez „Obronną Armie Izraela”...

Dziś Suez wygląda inaczej niż trzy tygodnie temu. Wrócili uchodźcy, utworzona administracja, usuwa się zniszczenia, rozbudowuje fabryki i parki, przystępuje do odbudowy miasta. Izraelczycy są już na drugiej stronie Kanalu Sueskiego, za przełęczą Mitla i Giddi. Częściowo rozwiązanie kryzysu bliskowschodniego oddało obydwie strony Kanalu w ręce prawowitych jego właścicieli — Egipcjan. W rejonach, jeszcze niedawno wstrząsanych zbrojnymi konfliktami, zapanał spokój. Gwarantem tego spokoju są wojska w niebieskich hełmach, w tym naszej polskiej jednostki specjalnej, które wchodzą na tereny opuszczone przez Izraelczyków, przekazując je władzom egipskim. Wojska UNEF rozdzielają Egipcjan od Izraelczyków sferą bufetu na Synaju.

Na obecne rozwiązanie konfliktu bliskowschodniego nie można jednak patrzeć przez różowe okulary jako na coś zamkniętego, dokonanego na lata. Jest to rozwiązanie tymczasowe. Świadczy o tym klauzula, która znalazła się w porozumieniu, podpisanym 18 stycznia br. na 101 kilometrze. Głosi ona, że Egipt i Izrael nie uważają niniejszego porozumienia za ostateczne porozumienie pokojowe. Jest ono pierwszym krokiem w kierunku ostatecznego, sprawiedliwego i trwałego pokoju, zgodnie z postanowieniami rezolucji Rady Bezpieczeństwa nr 338 i w ramach konferencji genewskiej”.

STEFAN KOTLARZ

uczesana w białej szacie wstaje na mój widok. Wygląda jak dobrze zakonserwowana kobieta sześćdziesięcioletnia. Słucha dlonie, kłoni się w moją stronę tym tradycyjnym gestem hinduskim ofiarując mi serce... Nie bardzo wiem jak się znaleźć. Wykonuję jakiś ukłon. Pytam. Odpowiada w języku hindi, a moja cicerone tłumaczy.

Obecnie działa ok. 500 siostr i braci. Prowadzą w całych Indiach działalność propagandową, a jednocześnie akcję socjalną — jak to można

ratami fotograficznymi. Nie będę ukrywał, że się nieco zakłopotalem. Zdjąłem obuwiu. Moja przewodniczka zrzuciła lekkie sandały. Wszliśmy do prostokątnego namiotu. Na ścianie na wprost wisiał wizerunek ceglastego symbolu bezpostaciowego boga Szivy o kształcie jajka, pod tym stało jakby podwyższenie — skrzynia przykryta białym płótnem. W równych odstępach na wyłożonej płachtami podłodze leżały małe poduszki. Pośrodku namiotu trzy osoby śpiewały coś monotonna przy dźwiękach ręcznej harmonijki. Na nasz widok przestali śpiewać i wyszli.

Pokazała mi ręką bym usiadł i powiedziała, iż powinienem patrzeć jej między oczy, w nasadę nosa, mniej więcej, tam gdzie Hindusi malują znak oświecenia duchowego dziś już stosowany głównie jako ozdoba. Ona nie zdobiła się w ten sposób.

Weszła na tę skrynie dzwonek leko i usiadła skrzyżowawszy nogi. Dłonie oparła swobodnie na rozchylonych kolanach. Patrzyłem. Mówiła, spokojnym, jakby nieco nawet usypiającym głosem, bardzo teraz ładna w tym łagodnym półmroku, w tej ciszy, która wokół nas nagle zaczęła zapadać... Mówiła, że trzeba patrzeć tam właśnie, nie odrywać wzroku, że jeśli tak się będzie robiło zobaczy się jak punkt ten, to miejsce, będzie się rozjaśniać. Trzeba nie myśleć o niczym, przestać myśleć o wszystkich sprawach, które zostały tam na świecie, poza tym pomieszczeniem. Mówiła, że bezosobowo patrzeć mi w oczy bez mrugnienia tymi swoimi wielkimi, czarnymi, błyszczącymi, przejmującymi ślepiami...

Myślałem, że jest przecież w gruncie rzeczy śliczna, mądra smarkula, dzieckiem prawie, a ja tu stary głupiec daję się nabierać. Myślałem dalej, że może to i być szarlataneria, ale może nie jest? Co ja wiem o tym kraju, o jego tradycjach, o jego wierzeniach, o jego problemach, o jego bogach, o jego ludziach, żeby już po kilku godzinach osądzić: to jest dobre a to złe, to głupie, a to mądre, to głębokie, a to płytkie?

Nie wiem, może to było tylko zlu-

KROWY

przetłumaczyć na nasze stosunki, a więc kursy zawodowe, przysposobienie młodych dziewcząt do obowiązków domowych itd. itp. Pomagają także najuboższym, ale raczej nie w formie jałmużny, lecz poprzez podnoszenie ich poziomu wykształcenia.

Młoda przewodniczka pyta nagłe: ma pan jeszcze trochę czasu i czy nie chciałaby pan oboje spróbować kontemplacji, tu w specjalnym do tego celu przeznaczonym pomieszczeniu?!

Przyznam, że ta propozycja trochę mnie zaskoczyła. Na twarz było już prawie całkiem ciemno, jednak cały teren tego festiwalu był rześkie oświetlony, a blyszczące lampki pulsowały różnymi kolorami. Pomyślałem, że nie wypada się wymówić, a poza tym — co za okazja dla dziennikarza! Już Was widziałem jak to czytacie i już myślałem, jak Wam to opisać, żeby nie uronić najważniejszego, tego jednego w swoim rodzaju nastroju...

Pożegnałem panią Prakash Maul schłodzoną bardzo i cichutką jak myszka. Wyszliśmy na plac. Poprowadziła mnie między namiotami. Ktoś odsonił płachtę jednego z nich. Wewnątrz panował ledwie półmrok. Jakis człowiek odebrał ode mnie torbę z apa-

JÓZEF POTĘGA

Dalszy ciąg ze str. 1

Stryj prostuje się na krześle, rzuca szybko spojrzenie na Teresę, wyrzuca: „co to znaczy? Znowu pojawia się nieufność w jego oczach, wyraz napięcia w całym ciele, gotowość do odwrotu z tej sytuacji siedzącego czy egzaminatora, w ogóle — do odwrotu z pokoju. Na ratunek spieszy Teresa, mówi szybko, choć wciąż łagodnie, z ledwo wyczuwalnym odcieniem przygnębienia: „Ojciec, on od czterdziestu lat żyje w domu, poza domem, w internacie u Jezuitów”.

— A wakacje, a święta? — rzuca tamten podziwliwie.

Henryk wzrusza ramionami, mówi z lekką goryczą, choć teraz już nie z taką, jaką odczuwał kiedyś, gdy nie wiedział, gdzie ma przypadnie spędzić czas wolny od nauki:

— No, są przecież dziadkowie, cioci, są koledzy ze szkoły, z internatu: było gdzie spędzić lato i święta. W domu, to znaczy raczej w tym naszym polskim Manchesterze, nie w domu, bo gdy przyjeżdżałem wcześniej, niż zamierzaliśmy, byłem kilka razy, ale zawsze wyjeżdżałem wcześniej, niż zamierzaliśmy — Dlaczego?

Henryk milczy, drażni go to śledztwo, to wdzieranie się w jego osobiste życie w końcu mamoty.

— Nie lubię o tym mówić, to zresztą, jak na pierwszą po tyłu, latach wzięte.

Urywa. I znowu Teresa wyrzeka go w odpowiedzi:

— On, ojciec po prostu od samego początku nie zaakceptował tej drugiej kobiety, macochy, pięknej Karoliny, a —

Henryk podejmuje z ironią:

— A ona z kolei mnie nie zaakceptowała i — silniejszy zwyciężył, słabszy musiał ustąpić z placu boju.

— A ojciec? — rzuca stryj.

— Och, ojciec. Z ojcem myśły się nigdy wzajemnie nie akceptowały.

— Dlaczego?

To „dlaczego” jest nieustępliwie natarczywe.

— Mój ojciec nigdy nie był dla mnie autorytetem, ani jako ojciec, ani jako — człowiek w ogóle. W stryj, ta cała afera z piękną Karoliną zaczęła się jeszcze za życia matki, mama chorowała przez te kobiety, w końcu zmarła, a poza tym — Mnie nigdy nie odpowiadał sposób, w jaki ojciec żyje, co robi, jak myśli, czym się zajmuje. A Stary chciał, żebym szedł jego śladem, objał po nim sukcesję, został fabrykantem i robił plót na pozwoły i kałesony.

Stryj opowiada lekkie drgnienie ramion, rzucił opryskliwe:

— No, no, szanuj ojca. Chce dla ciebie dobrze, byłbyś bogatym człowiekiem, słuchając jego rad. Czy to źle?

— Bogatym. Pieniądze nie mają żadnego znaczenia. Najwyżej użytek, jaki się z nich robi, ma jakieś znaczenie. Ojciec stał się dla mnie —

— rzuca stryj —

— A ty odmówiłeś?

— Odmówiłem Oczywiście nie obeszło się bez grubej awantury.

— To twój jestes, a wyglądasz jak —

— Młeczak — podał mu Henryk.

— Niech stryj sobie pozwoli. Mnie nazywali już młeczakiem, panienką, Dziewicą Orleańską, Chrystusikiem.

— Kto?

— Ojciec, macocha, Elżbieta, siostrzyeczka ukochana, niektórzy koledzy z internatu. Ojcu powiedziałem: niech będę młeczakiem w twoich oczach, ale nigdy nie zostanę fabrykantem. Nie będę zarządzał, obliczał, inwestował, rozbudowywał, nie będę dawał strajków, wzywał policję z pałkami na robotników, nie będę sprzedawał, kupował, bo mnie to nie interesuje po prostu.

— A co cię interesuje?

— Mnie?

Henryk rzucił to „mnie” i unikł, próbując w tym momencie, w którym —

— ożuje — zdaje jakiś egzamin przed ojczym Teresą, określić siebie jednym zdaniem przez krótki opis tego, co go interesuje, czyli co stanowi jego istotę wewnętrzną.

Przywołane przed chwilą bez udziału jego woli wspomnienie „pięknej Karoliny” i ojca poddanego całkowicie jej woli, sprzymierzającej z nią Elżbiety —

— napelnia go jakąś spoieląca goryczą. Spoieląca, bo to już nie jest świeża, awanturująca gniewna gorycz czternastoletka, lecz uspokojona, może nieco sztywna, serwowana teraz w psychologicznym opakowaniu lekkiej drwiny.

— Mnie chyba — uśmiecha się nisko — najbardziej interesuje — a raczej, oczywiście, coś w rodzaju medytacji nad sposobem ludzkiego życia.

— No, no — powiada stryj również kpiąco — to z ciebie nie lada filozof, medytacja nad sposobem ludzkiego życia —

Stryj urywa, milczy chwilę i nagle dodaje niechętnie, jakby samo wymówienie słowa „medytacja” napelniało go znużeniem:

— Jאלowe zajęcie. I do niczego nie prowadzi. Niczego w życiu nie cofilie, niczemu nie zapobieganie.

Wtedy odzywa się Teresa:

— Cofnąć, nie cofnąć, ale zapobiec to chyba może, ja —

Henryk przerywa jej niecierpliwym gestem:

— Przepraszam cię, Tereso. Stryju, stryj mówi „medytacja, to jאלowe zajęcie”. Przypomniał mi to Elżbieta, jak żyła. Ona kiedyś tak samo powiedziała. Wie stryj w jakich okolicznościach? Kiedy miałem bodaj sześćnaście lat, po dwu latach nieobecności w domu, przyjechałem po raz pierwszy na święta do domu; to znaczy przyjechałem do tego naszego polskiego Manchesteru, ale zamieszkałem u cioci, bo nie chciałem iść do domu ojca i przeprosić macochy, która kiedyś obraziłem, ani odwiedzić tego, co o niej powiedziałem, a powiedziałem jej: „Nie będę panem mówić „Mamo”, jak pani sobie życzy, pani nie jest moją matką. Matkę ma się tylko jedna, pani jest po prostu złodziejką, okradła nas pani z matką, z jej miłością, mamią, przez panią chorowała i umierała!” Ojciec wpadł raz czy dwa razy do mnie, ale to były zdawkowe odwiedziny. Tylko Elżbieta przesiadywała ze mną u cioci przez ten tydzień, wodziła mnie ze sobą po mieście. Wtedy zaszedł właśnie jeden wypadek. Mianowicie pewnego dnia, gdy

szliśmy wąską uliczką naszego miasta, potrafiłem niechcący chłopaka; był chyba w moim wieku. Stało się to w momencie, gdy odskoczyłem pod mur domu, aby uciec przed fontanną błota, bo właśnie nadjeżdżał szybko wóz zaprzęgnięty w parę ciężkich koni i brzygał błotem daleko na chodnik. Wpadłem na tego chłopca tak nieszcześnie, że wysilił się na ręk bochenek chleba, potoczył na jezdnię i to właśnie bój. Chłopak najpierw bluznął na mnie stękiem przekleństw, najordynarniejszych jakie kiedykolwiek słyszałem, skoczył na jezdnię po bochenek, podniósł go, zaczął wycierać rękawami i — zbliżył się do mnie. Wreszcie podniósł z wielkością pięść, gotów do uderzenia. Cofałem się pod mur, niemal wparłem się w niego, słyszałem szczylenie Elżbiety: „co stoisz, głupcze, wiesz już, wieszmy. Potem, gdy poczułem parę ciosów, Elżbieta zaczęła krzyczeć: Bróń się, zatracała ofensywę, oddaj mi! Walila napastnika po plecach swoimi drobnymi piastkami, drapała go, wrzeszczała, gdy sama oberwała szturchnąc, szarpała mnie za rękę, pociągając, wołając: W nogi!

Zaczęłam uciekać, Elżbieta za mną. Ten chłopak gonil nas aż do parku. Elżbieta sapiała mi nad uchem: Ty tchórz, daleś się zaskoczył, pobić, zatrzymajmy się teraz, uzgodnijmy walkę, we dwoje stuczymy go na miąższo, ty atakuj od przodu, a ja — kopniakami od tyłu. I kijem go, patrz, tam leży gałązka kasztana. Jak go taką gałązka stuknę w lebo — Wróć! Widzisz, kamileniamy w nas zaczyna rzucać, jeszcze ci to twoja przemądrzała makłowicz rozkwaś! No!

Nie ustawałem w biegu. Trzymałem ją za rękę, ciągnąc za sobą, szarpałem jej złościwe dogadywanie: młeczak, babo — Nie reagowałem.

— Stchórzyłeś zwyczajnie — mruknął stryj Jakub — a mała, młodsza od ciebie, powinna być chłopakiem, nie ty —

Henryk milknął na moment, wpatruje się w stryjaka uważnie, mówi:

— Tak stryj sądzi? A ja myślę, myślałem też tak wtedy, że trzeba więcej odważyć, by w sytuacji, gdy bije nas słabszy i bardziej nieszcześliwy, nie oddawać ciosów, najwyżej schwyć go za rękę, jeśli można. Trzeba także wtedy więcej odwagi, by znieść nawet nagłażanie kibiców, niż by oddać uderzenia. On, stryj, był jeden — nas — dwoje, a poza tym — Ten chleb widocznie dla niego wiele znaczył.

— No — mruknął stryj — już cię widzę, dobrze to ci w życiu nie będzie. Za wiele filozofszak.

— On, ten chłopak, biegł jeszcze jakiś czas za nami, biegł coraz wolniej, widocznie zmęczył się; był chudy i taki jakiś

szary, jak zmarnięty kartoflik budył późną jesienią. Wówczas i ja zwinilem kroku, przystanęłam, Chciałam z nim porozmawiać, zrozumieć — co w nim wzbudziło aż taką złość. Gdy zbliżył się wolno do nas, powiedziałam: Wyrozumaj mi swoją nienawiść, przeproszę cię — Napastnik parsknął: Mam gdzieś twoje przeprosiny. Pozwól — powiedziałem — wróćcie ci z chlebem, dam ci więcej niż on jest wart, poznajmy się. Ja jestem Henryk Richter, a to moja siostra, Elżbieta. On, wie stryj, co on zrobił? Zmierzył mnie pogardliwym wzrokiem, spłunął mi pod nogę, powiedział: Ja was dobrze znam, wy, burkusiści nasienie, kto by was tutaj nie znał? Nie potrzebuję twoich groźb, udaw się twoją jalużną, to są i tak nam ukradzione pieniądze. Oddajcie to, co jesteście nam winni — mojemu ojcu, matce, braciom, ich towarzyskom, którzy na was tyrają, żebyście wy mogli wa wszystko opłacać. Dobrowolnie nie oddacie, my wiemy, ale wasz czas się skończy, wtedy — Elżbieta zachichotała złościwie: „siedziłam wówczas bezdennie wy, co?” Pociągła mnie za ramię, dalem się jej bezwzględnie uprowadzić, słuchałam jak mówiła ogładając się za tym chłopakiem: Chodź, chodź, głupcze, jeszcze nie pojął, że oni nas wszystkich nienawidzą, aż im ta nienawiść siłną z gęby kapie! Nie dosyć, że cię biją, ty chcesz, jak święty Franciszek nadstawiać drugi policzek, może jeszcze medytować jאלowo: za co biją? Albo: jak żyć, aby jeden drugiego nie bił? Nienawidzą nas za to, kim jesteśmy, za to, że sami nie mają nie próż swoich niemrawych rąk i wieczne nie nazyżnych bandochów, a chcieliby słuchać jak mówią ogładając się za swoich pracowitich dziadkach i co pomnożyli własną uniętnością, pracowitością i zapobiegliwością, wiedzą, pracą mózgu. Zresztą pieniądź robi pieniądź, zawsze tak było, jest i będzie — No, co tak medytujesz?

— Ja — przez parę dni patrzyłem na suto zastawiony stół cioci i nie mogłem śpić. No, nie mi nie przechodziło przez gardło, wciąż mi ten chłopak z ubłoconym bochenkiem chleba pod pachą stał w oczach. W końcu Elżbieta wydusiła ze mnie, co mi jest i wydzwołnia Staroż z domu; przyszedł do cioci wyłutaczmy mi wszystko: krótko i wesołowo. Nie mógł cofnąć obniżki plac, bawelna droższe, utrzymanie budynków kosztuje, maszyny się zużywają, trzeba kupić nowe, tekstyla na rynkach światowych spadają w cenę a podatki rosną. Nie da się inaczej obniżyć kosztów produkcji inaczej jak przez obniżkę plac. Oszczędzać można tylko na ludziach. Oni się trochę poawanturują, postrajkują, ale bezrobocie i głód ich przynęca z powrotem. Zrozumiałeś? Takie są prawa produkcji, prawa rynku, podaż i popyt. Zapytałem ojca, czy nie mógłby wobec tego zająć się czymś innym? Rozesłał się: Jeżeli ja nie będę tego robił, będzie ktoś inny. Powiedziałem: To niech robi ktoś inny, czemu ty właśnie, mój ojciec? Ci ludzie nas nienawidzą, czy nie można robić czegoś, co nie budzi ludzkiej nienawiści do nas. Ciekło jest znieść ludzką nienawiść. Tym razem rozesłała się Elżbieta: Widzisz, papo, jaki to Chrystusik, cierpiący za cudze grzechy? Mówiłam ci, nie będziesz miał z niego pożytku, już lepiej ja będę twoją sukcesorką. Smykałkę mam nie od parady, po tobie ja mam i ja lubię fabrykę, lubię nawet ludzką nienawiść. Tylko silnych

nienawidzą własnymi gardz. Tak mówiła Elżbieta. No i zostanie sukcesorką. Ona potrafi przechrzyć nawet naszą sprytną macochę. Wdłęczy się do niej, „mamuniu” jej mówi, „moja śliczna Karolinko”; świeci jej bakę, a do mnie szepece z boku z chichotem: Chytręgo trzeba pobić jego własną bronią. Ja będę, ty kuternego psychiczna, pilnowała pięknej Karoliny, skoro ty nie potrafisz tego robić, żeby nie ogłupiała ojca do reszty i nie zagrabiała całego majątku, a ty sobie siedzisz w książkach, w filozofach, słuchasz sobie Bacha, rozkłuwiasz się „Aria na strunie G”, to dobrze dla takich sentymentalnych mazgajów, medytuj nad życiem, pisz sobie wierszyki, byle byś tylko nie machał w nich czerwonym sztaendarem i nie wymyślał nam od krwiopijców. To teraz modne w literaturze, tutaj byli tacy różni burzyciele, Wandurscy, teraz są Braunowie, sprowadzają sobie podobnych poetów i chcą szerzyć te zaraze. Kiedyś Miśka Tornhauser zaprosiła mnie na tajny wieczór „rewolucyjnej poezji”, urządziła takie imprezy w bezpiecznym miejscu, w ich pałacu, pod skrzydłkami tej kapitalisty. Powiedziałam ci — dynamit w powietrzu. Ktoś ich musiał synpaci, nie, nie ja, dwoje z nich aresztowano, reszle młodych tatusiów śpiesznie wywieźli za granicę i skończyła się ta pałacowa rewolucja. Ale ty sobie nie zawracaj głowy żadnymi Wandurskimi, żadnymi ubłoconymi bochenkami chleba, bo nam to na zdrowie nie wyjdzie. Papa mówił, że najgorzej, jak do robienia rewolucji biorą się inteligenci. Bo ten tak zwany, jak ja powiedziałam „le lud”, oni, robotnicy mówią „proletariat”, a nasz fater — „motloch”, więc ten „le lud” pohalaśuje, da się zastraszyć, wygłodniały da sobie zatknąć głowę czym — a inteligent siada i zaczyna na zimno wymyślać teorie wywrotowe, ot jak ten ich święty, Marks. Teorie, żeby nas zmieść z posad świata. Jak w Bolszewii zmieśli takich jak my.

Henryk zamilkł, zamyslił się, potem dodał:

— Ta Elżbieta, to też kuta na czterech nogach. Też mi chciała zatknąć głowę. Postanowiła. Ona też była za tym, żeby mnie wysłać z Łodzi. Dobrze mnie zagroździł u Jezuitów. Mnie się zdaje, że nie tylko chodzą im o macochę, oni się bałi, że ja się pokutuję z tym „wywrotowcami”. Kiedyś ojciec złapał u mnie wiersze jednego z nich i zrobił mi piekielną awanturę.

Młeczka teraz przez chwilę wszyscy trzej: on, stryj Jakub i Teresa. Wreszcie ona psta ostrożnie:

— To co ty teraz będziesz robił, co będziesz studiował, gdzie mieszkał?

— Nie wiem, nie wiem — mówi ze zniecierpliwieniem — chciałem iść na filozofię,

Henryk zamilkł, zamyslił się, potem dodał:

— Ta Elżbieta, to też kuta na czterech nogach. Też mi chciała zatknąć głowę. Postanowiła. Ona też była za tym, żeby mnie wysłać z Łodzi. Dobrze mnie zagroździł u Jezuitów. Mnie się zdaje, że nie tylko chodzą im o macochę, oni się bałi, że ja się pokutuję z tym „wywrotowcami”. Kiedyś ojciec złapał u mnie wiersze jednego z nich i zrobił mi piekielną awanturę.

Młeczka teraz przez chwilę wszyscy trzej: on, stryj Jakub i Teresa. Wreszcie ona psta ostrożnie:

— To co ty teraz będziesz robił, co będziesz studiował, gdzie mieszkał?

— Nie wiem, nie wiem — mówi ze zniecierpliwieniem — chciałem iść na filozofię,

Henryk zamilkł, zamyslił się, potem dodał:

— Ta Elżbieta, to też kuta na czterech nogach. Też mi chciała zatknąć głowę. Postanowiła. Ona też była za tym, żeby mnie wysłać z Łodzi. Dobrze mnie zagroździł u Jezuitów. Mnie się zdaje, że nie tylko chodzą im o macochę, oni się bałi, że ja się pokutuję z tym „wywrotowcami”. Kiedyś ojciec złapał u mnie wiersze jednego z nich i zrobił mi piekielną awanturę.

Młeczka teraz przez chwilę wszyscy trzej: on, stryj Jakub i Teresa. Wreszcie ona psta ostrożnie:

— To co ty teraz będziesz robił, co będziesz studiował, gdzie mieszkał?

— Nie wiem, nie wiem — mówi ze zniecierpliwieniem — chciałem iść na filozofię,

MŁECZAK

szary, jak zmarnięty kartoflik budył późną jesienią. Wówczas i ja zwinilem kroku, przystanęłam, Chciałam z nim porozmawiać, zrozumieć — co w nim wzbudziło aż taką złość. Gdy zbliżył się wolno do nas, powiedziałam: Wyrozumaj mi swoją nienawiść, przeproszę cię — Napastnik parsknął: Mam gdzieś twoje przeprosiny. Pozwól — powiedziałem — wróćcie ci z chlebem, dam ci więcej niż on jest wart, poznajmy się. Ja jestem Henryk Richter, a to moja siostra, Elżbieta. On, wie stryj, co on zrobił? Zmierzył mnie pogardliwym wzrokiem, spłunął mi pod nogę, powiedział: Ja was dobrze znam, wy, burkusiści nasienie, kto by was tutaj nie znał? Nie potrzebuję twoich groźb, udaw się twoją jalużną, to są i tak nam ukradzione pieniądze. Oddajcie to, co jesteście nam winni — mojemu ojcu, matce, braciom, ich towarzyskom, którzy na was tyrają, żebyście wy mogli wa wszystko opłacać. Dobrowolnie nie oddacie, my wiemy, ale wasz czas się skończy, wtedy — Elżbieta zachichotała złościwie: „siedziłam wówczas bezdennie wy, co?” Pociągła mnie za ramię, dalem się jej bezwzględnie uprowadzić, słuchałam jak mówiła ogładając się za tym chłopakiem: Chodź, chodź, głupcze, jeszcze nie pojął, że oni nas wszystkich nienawidzą, aż im ta nienawiść siłną z gęby kapie! Nie dosyć, że cię biją, ty chcesz, jak święty Franciszek nadstawiać drugi policzek, może jeszcze medytować jאלowo: za co biją? Albo: jak żyć, aby jeden drugiego nie bił? Nienawidzą nas za to, kim jesteśmy, za to, że sami nie mają nie próż swoich niemrawych rąk i wieczne nie nazyżnych bandochów, a chcieliby słuchać jak mówią ogładając się za swoich pracowitich dziadkach i co pomnożyli własną uniętnością, pracowitością i zapobiegliwością, wiedzą, pracą mózgu. Zresztą pieniądź robi pieniądź, zawsze tak było, jest i będzie — No, co tak medytujesz?

— Ja — przez parę dni patrzyłem na suto zastawiony stół cioci i nie mogłem śpić. No, nie mi nie przechodziło przez gardło, wciąż mi ten chłopak z ubłoconym bochenkiem chleba pod pachą stał w oczach. W końcu Elżbieta wydusiła ze mnie, co mi jest i wydzwołnia Staroż z domu; przyszedł do cioci wyłutaczmy mi wszystko: krótko i wesołowo. Nie mógł cofnąć obniżki plac, bawelna droższe, utrzymanie budynków kosztuje, maszyny się zużywają, trzeba kupić nowe, tekstyla na rynkach światowych spadają w cenę a podatki rosną. Nie da się inaczej obniżyć kosztów produkcji inaczej jak przez obniżkę plac. Oszczędzać można tylko na ludziach. Oni się trochę poawanturują, postrajkują, ale bezrobocie i głód ich przynęca z powrotem. Zrozumiałeś? Takie są prawa produkcji, prawa rynku, podaż i popyt. Zapytałem ojca, czy nie mógłby wobec tego zająć się czymś innym? Rozesłał się: Jeżeli ja nie będę tego robił, będzie ktoś inny. Powiedziałem: To niech robi ktoś inny, czemu ty właśnie, mój ojciec? Ci ludzie nas nienawidzą, czy nie można robić czegoś, co nie budzi ludzkiej nienawiści do nas. Ciekło jest znieść ludzką nienawiść. Tym razem rozesłała się Elżbieta: Widzisz, papo, jaki to Chrystusik, cierpiący za cudze grzechy? Mówiłam ci, nie będziesz miał z niego pożytku, już lepiej ja będę twoją sukcesorką. Smykałkę mam nie od parady, po tobie ja mam i ja lubię fabrykę, lubię nawet ludzką nienawiść. Tylko silnych

ojciec mnie wysłał; miałem zamiar potem studiować filologię polską, ojciec parsknął z irytacją: Cóż ty, bełtłem będziesz, gubernernie, cudze dzieł będziesz uczył? Co to za zawód, będziesz kłapał bledę.

— Więc — mówi Henryk i patrzy na stryjaka uważnie, na jego przysgarbione ramiona — postanowiłem iść na morze — Co stryj na to?

Jakub Richter podnosi nagle powieki, spogląda z niespokojną ciekawością, rzuca szybko:

— Co znaczy „iść na morze”, co przez to rozumiesz?

— No, na razie wstąpić do szkoły morskiej, potem pływać, ale — ostatniej nocy uświadomiłem sobie, że właściwie to chciałem iść do tej szkoły, żeby kiedyś popłynąć w daleki świat, być jak najdalej od domu, od ojca. Choć w końcu — To chyba nie najgorzej zawód? Stryj był marynarzem, był kapitanem nawet, czy stryj uważa, że to dobry wybór, czyś się kiedyś pomyślał z tym planowaniem? Nie mam się kogo poradzić, stryj chyba najlepiej mógłby mi —

Poradzić, poradzić — Stary przeżuwa wyrazy jak niestrawne kęsy — każdy człowiek jest inny, co to komu radzić. Radzić może ojciec, powinienem być posłusznym, posłuszeństwo dziecięce względem rodziców, ojca zwłaszcza, może uchronić od wielu błędów, od nieśczęść, nieprawda Tereso?

Henryk odpowuje porywczo, niemal ze złością: tyle się nagadał o ojcu i tej jego drugiej kobiecie i na nie.

— Szczęście, nieszczęście! Nie wiem, co to jest. Ale jeżeli mam być posłusznym ojcu, brać od niego przepisy, jak żyć, i uważać na przykład za szczęście ogłupiającą miłość do tej kobiety, dlatego że jest od niego o trzydziści lat młodsza i dodaje mu krzepy, wigoru do życia, do robienia plót na pozwoły i przędziaradła, to wybacz stryj, ale —

Prawie nie zauważa, że Teresa trąca go pod stołem nogą, jakby dotknął jej tematu, którego w tym domu nie należy poruszać i już słyszy szybko, gniewnie słowa stryjaka, rzucone w rozdrażnieniu:

— Co ty wiesz o miłości? Masz dopiero dwadzieścia lat. Co można wiedzieć o miłości mając lat dwadzieścia? Będąc w dodatku pod księżym skrzydłkami? Można najwyżej wiedzieć coś niecoś o internackich praktykach młodzieńców ze sobą.

— Stary jest zły; wskazują na to rozbiegane ręce, maza nimi dokoła talerzy, jakby szukał czegoś, czego tam nie posiadał, chowa je, zwłaszcza tę poharataną prawą rękę, pozbawioną jednego palca, potem zaczyna obmacywać kieszonkę. Teresa mówi:

— Papłerszy masz, papo, obok talerza, nakrył się serwetką, nie, nie z tej strony, z drugiej, obok półmiska.

Henryk myśli: i o czym tu do diabła mówić, stale czegoś trzeba się wystrzegać, jakby człowiek zgłowił miedzy rafami i musiał uważać, by sobie boków przypadkiem nie poharatać. Stara się załagodzić sytuację, uproszony o to wzrokiem Teresy.

— Oczywiście, niewiele wiem o tak zwanej miłości, ale o tak zwanych praktykach młodzieńców ze sobą przynajmniej w naszym internacie, w ogóle nie słyszałem. To są nierzaz za daleko idące pomówienia czasem niewinnych przyjaciół chłopaków ze sobą.

A co do miłości, stryj, to wiem tylko jedno, że miłość mamy do ojca, do nas wszystkich była inna, ona nas jakoś rozświetlała od środka; wszystkich. Ojciec był wtedy inny, nie taki pazurek na pieniądze, szedł nierzaz z ludźmi na ugodę. Elżbieta też nie miała wówczas za życia mamy, takich tygrysich pazurków drapieżnika, tego jakiegoś sprytu, przewrotności, w ogóle nasz dom był inny. Świat w tamtych latach wydawał mi się lepszy, przeniknięty dobrocią mamy, jej promieniującym ciepłem.

— A teraz, mamy nie stało i świat zrobił się od razu zły — głos stryja pęknął w niego jak sopel lodu urwany z dachu. — Egzaltacja młodzieńcza. Trzeba wyrosnąć z matki jak z krótkich spódn. Matki robią z dzieci wieczne niemowlęta, dopiero ojciec potrafi pomóc — synowi sprostać obowiązkom mężczyzny, córce — jej ludzkim obowiązkom.

— A co znaczy — Henryk nie może powstrzymać irytacji, mimo że czuje znowu dotknięcie stopy Teresy — „sprostać obowiązkom mężczyzny”? Być takim samym jakim jest ojciec, ojciec? A jeżeli synowie nie chcą być takimi jak ojcowie? To —

Urywa, bo nie chce mu się dalej ciągnąć tej rozmowy, to jest przelewanie z pustego w próżne — myśli. Spóźniona, że twarz Teresy staje się coraz bardziej napięta, więc kończy:

— Ten świat jest chyba już naoliwiony, czegoś zasadniczego w nim brakuje —

— Prawdziwej miłości chyba — mówi stryj Teresa.

— Nie — akcentuje swój sprzeciw stryj, ostrym wydmuchnięciem dymu prosto w ich twarze — prostej wiedzy, że doświadczenie jest przekazywalne i można z niego z pożytkiem dla siebie korzystać. Ale młodzi chcą zawsze odkrywać Amerykę na własną rękę. Wam się wydaje, że od was znacznie się nowa epoka.

— Mój wychowawca, Ojciec Bartłomiej, uważał, że w tym brak jest — Boga. Miał na myśli boski czyli doskonały pierwiastek miłości ludzkiej, którego —

— w ogóle nie ma w naturze miłości człowieka do człowieka — przerywa Teresa — w nas jest wszystko skazane, więc i —

— No, no — jeżeli jeszcze powiesz,

ci ani mędrzymi ani lepszymi, niż nasi ojcowie byli dla nas i z kolei one będą sobie obiecywały stworzyć swój własny, inny, lepszy dom, ale czy ten DOM — AZYL będzie lepszy dla ich dzieci? kto to wie? — bo może również my nie będziemy umieli niczego nauczyć swoich dzieci, zaraz, nie przerywaj mi Tereso, nauczysz w tym sensie, że one też nie zechcą przyjąć naszego doświadczenia, nie za miarę swojego postępowania, tak jak my nie jesteśmy najczęściej skłonni przyjąć doświadczenia naszych ojców, ponieważ doświadczenie każdego pokolenia jest inne, bo świat staje się inny, ważne tylko dla tego pokolenia, które to doświadczenie zdobywa, więc jest nieprzekazywalne, raczej — mało przydatne — Zresztą wie stryj — nasz wychowawca mówił, ja się tak ciągle na niego powołuję, bo, oczywiście, ta cała mądra, z której stryj tak kłopotliwie, to, naturalnie, mądrość „pożyteczna”, powiedzmy — podszuchana, wycięta, podpatrzona, więc Ojciec Bartłomiej mówił, że ten DOM czyli AZYL nie istnieje, jego w ogóle nie ma być poza nami, jest tylko — on mówił — wieczne poszukiwanie go, ponieważ to schronienie przed niepewnością i złem można odnaleźć tylko —

— W Bogu?!

Pytanie Jakuba Richtera chłasnęło nagle w krótką chwilę ciszy, jak niespodziane uderzenie dzwiatej fall spada na piaz plaży, przynajmniej jak swoim ciężarem; tyle było w tym słowie: „W Bogu?”! drwiące goryczy i gniewnej pretensji. Ale pretensji do kogo? Do tych, którzy kazali ludziom szukać schronienia w Bogu, wierząc naiwnie, że można w Nim znaleźć swój AZYL, czy pretensji do samego Boga-Azylu, jeżeli on w ogóle istnieje, a nie jest stworzonym przez Ojca Bartłomieja pocieszeniem dla maluczkich. Czyżby ten człowiek — przebiega Henrykowi przez głowę — spierał się kiedyś z tym, co nazywa się potocznie Bogiem, z pojęciem Ładu, Prawości i — przegrał ten spor, albo został odrzucony przez tego Boga, jako niegodny takiego prawowania się?

Mówi:

— Ja nie miałem na myśli Boga, chciałem tylko powiedzieć, że być może, ten azyl człowiek potrafi odnaleźć tylko —

— W sobie samym? — rzuca Teresa, tylko ilu z nas na to stać? Jakże trzeba mieć rezerwy sił wewnętrznych, żeby temu sprostać?

— Niewiele mam jeszcze własnego doświadczenia, ale — Ojciec Bartłomiej, który mnie podjeżdżał, nie bez racji zresztą, o budowanie sobie wariacji laickiej, czyli bez liturgicznie pojmanego Boga, ostrzegł mnie przed zaufaniem w siebie; mówił, że człowiek niewierzący może odnaleźć ten azyl, czyli schronienie przed złem, w sobie, tylko będąc człowiekiem wielkiej siły moralnej i tę silę — mówił — rodzi wewnętrzne poczucie prawości, bezustannie sprawdzane surową samooceną, oceną każdego przewinienia, każdego swojego kroku, on oczywiście mówił „grzechu”, i umianiane dawanym zadośćuczynieniem za przewinienia. Każdy ma swój głos wewnętrzny, którego nierzaz nie oszukuje, chyba że chce go oszukać, albo —

— Maksymalista ten twój Ojciec Bartłomiej. Jakże donośnym musi być ten głos wewnętrzny, żeby go zawsze w każdym zgłaski słyszeć — mówi Teresa.

Henryk podejmuje jej ton lekkiej drwiny:

— No, można się od niego wykreślić, zagłuszyć go także jakimś „entuzjastycznym” działaniem, można go w sobie zatłamsić, zapieć można i odwrócić się od niego, udając, że się go nie słyszy. Mój ojciec na przykład, nieskończoność do siebie, że miał głowę do piciu, bo lubi mieć trzęsawą głowę do interesów, też potrafił, gdy zakochał się w pięknej Karolinie —

— Nie kończy, bo nagle stryj syknął, szarpnął się w fotelu, papieros wypadł z ust

NOTY

„WORLD MAGAZIN” — NOWY JORK

A Chile przykuwa dziś uwagę całego świata. Chilijscy junta wojskowa zamordowała z zimną krwią tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci zaraz w pierwszych tygodniach po dokonaniu przewrotu w dniu 11 września ub. roku. Te niesłychane zbrodnie ujawniła delegacja kobiet, podczas konferencji prasowej w siedzibie ONZ.

Delegacja działająca z ramienia Międzynarodowej Federacji Kobiet i Korzystająca z doradczego statusu w ONZ, odwiedziła Chile w styczniu tego roku. Podczas podróży po tym kraju, uczestniczki delegacji napotykały wiele trudności, stwarzanych przez juntę, mimo to udało im się spotkać z chilijskimi adwokatami politycznymi i związkowymi, a także z pracownikami kultury. Uzyskane stały informacje wskazują na permanentne krwawe represje w tym południowo-amerykańskim kraju.

— Krwawy terror nie ustaje — powiedziała Margaret Mrozinski z Zachodniego Berlina — występująca w imieniu delegacji. — Teraz aresztowań dokonuje służba bezpieczeństwa. Aresztowania, tortury i zabójstwa dotknęły połowę chilijskich rodzin.

Dotąd w liczących obywateli koncentracjach w obozach w Chile więzionych było 15-18 tysięcy ludzi. Tylko w samym Chacabuco, jak dowiedzieli się delegacja, w więzieniu znajduje się około 900 osób, w tej liczbie 200 profesorów i innych pracowników naukowych z Uniwersytetu Katolickiego. Z więzień i obozów koncentracyjnych uwolniono około 150 tysięcy robotników; zawładły tu względy gospodarcze. Z pracy wyrzucono ponad 600 lekarzy, następnie wstrącono ich do więzień lub zamordowano.

Od czasu przewrotu, w Chile ceny wzrosły o 1000 procent.

Margaret Mrozinski wezwała światową opinię publiczną do podniesienia głosu protestu przeciwko trwającym w Chile represjom. Podkreśliła ona, iż do najbardziej pilnych należą sprawy:

— zmuszenia ludzi do respektowania prawa międzynarodowego i pozwolenia uciekinierom, ukrywającym się w różnych ambasadach, na wyjazd z kraju;
— zażądanie zwolnienia z więzień i obozów koncentracyjnych więźniów, którym nie przedstawiono aktu oskarżenia;
— udzielenie wszystkim aresztowanym prawa do obrony i korzystania z pomocy adwokatów;
— zażądanie bezwzględnego położenia kresu działalności trybunałów wojskowych.

„NATION” — PARYŻ

■ Czy nadmierne używanie kawy może spowodować zawał serca? Jak wykazały badania kliniczne grupy osób, które przeżyły już te choroby, większa ich część wypijała codziennie po sześć, a więcej, filiżanek kawy. Stwierdzono też, że wśród osób pijących zazwyczaj dużo herbaty przypadki zawału serca zdarzają się dużo rzadziej. Czy można zatem twierdzić, iż przyczyną tego schorzenia jest kofeina, skoro filiżanka kawy i filiżanka herbaty zawierają prawie taką samą jej ilość (100-150 miligramów)? Bardziej prawdopodobne jest psychologiczne wyjaśnienie tego zaskakującego zjawiska. W odróżnieniu od „herbaciarzy”, „kawiarze” są bardziej pobudliwi, częściej ulegają silnym napięciom nerwowym co oczywiście zwiększa niebezpieczeństwo zawału.

„LES NOUVELLES DE MOSKOU” — MOSKWA

A Blisko stu urbanistów brytyjskich, członków Royal Institution of Chartered Surveyors, spędziło kilkanaście dni w Moskwie. Obiecali oni omlawie budynki mieszkalne oraz spotkali się ze swymi radzieckimi kolegami.

„REUTER” — LONDYN

A Przedstawiciel organizacji krajów — eksporterów ropy (OPEC) powiedział, że trzydniowe spotkanie w Waszyngtonie w sprawie energetyki może spowodować „przekreślenie” między krajami — producentami ropy a krajami — konsumentami.

„THE SUNDAY TELEGRAPH” — LONDYN

A CIA wydatkowała setki milionów dolarów na opracowanie techniki implantacji mikrofonów podskórnych pod skórą zwierząt domowych. Jednakże nieznosne tendencje psów i kotów do spacerów i waleśniania się poza domem w czasie ważnych rozmów, prowadzonych w domu przez ich właścicieli, zmusiły CIA do zarzucenia tego projektu. Jest to „rewelacja” zaczerpnięta z książki M. Victora Marchettego, byłego pracownika wydziału analiz CIA i M. Johna Marca, byłego agenta departamentu stanu, pt. „CIA kult szpiegostwa”.

Chiny są dziś widowiskiem wydarzeń świadczących, że niesnaski na maoistowskiej górze nie ustają ani na chwilę, a wiele pośrednich oznak pozwała obserwatorom wydarzeń w ChRL twierdzić, iż walka o władzę przybiera na ostrości. W ostatnich dniach rozlegają się oskarżenia o rewizjonizm, którym jest ponoć zarazona współczesna literatura, kultura, muzyka, program nauczania. W całym kraju odbywa się zdumiewające publiczne misterium roztrząsania i krytyki idei Konfucjusza, w czym rozeznac się nie sposób. Wśród tego rozgardiaszu istotne problemy Chin pozostają na uboczu.

Jak przypuszczają zagraniczni obserwatorzy polityczni, cała ta kampania służy przywódcom chińskim do odwrócenia uwagi społeczeństwa od krachu wewnętrznej polityki Chin, która doprowadziła kraj na krawędź ekonomicznej i politycznej katastrofy, jak również do rozprawienia się z opozycją, którzy nie zgadzają się z jej kursem.

Sytuację polityczną w Chinach można by dziś porównać do rozregulowanego kompasu, którego wskazówka obraca się we wszystkie strony. Istnieją oznaki, z których wynika, iż „umiarkowani” nadal panują nad sytuacją. Czyż mogłoby być inaczej — pisze komentator polityczny londyńskiego „The Economist” — skoro taki wypróbowany, stary partyjny burokrata jak Den Siao-pin, uparcie idący drogą kapitalizmu, znów został — dokooptowany — do składu Biura Politycznego? Ale istnieją także i całkiem wyraźne oznaki wskazujące, że „radikalowie” rwą się do boju: ktoś inny mógłby podnieść bunt przeciwko rodzicom, nauczycielom, działaczom partyjnym, Konfucjuszowi i Beethovenowi? I dlaczego to sprzecznym wydarzeniom miałyby się odbywać w Chinach, gdyby się kraj ten nie przygotowywał do jeszcze jednej rundy „rewolucji kulturalnej”?

W dzisiejszych Chinach zupełnie wyraźnie odczuwa się powiewy 1966 roku. Obecnie, podobnie jak i wtedy, młodzież znajduje się w awangardzie ofensywy na „autorytety” w uniwersytetach i szkołach. Ten temu ruchowi nadal w lipcu ubiegłego roku pewien chłopiec z komuny wiejskiej w prowincji Liaonin, w czambuł potępił egzaminy wstępne na uniwersytety. Jego argumentacja: ważniejszym zadaniem jest robienie rewolucji, niż ślęczenie nad książkami! Od tego dnia rozreklamowano go w całym kraju i pokrzepiono pochwalnym artykułem w „Zeminiżpao”. Grupa uczniów szkoły średniej w Szanghaju wysunęła analogiczny argument: zażądała pozwolenia na ściąganie od

potencjalny następca hunwejbínów odrodził się w postaci „pospolitego ruszenia”. „Pospolite ruszenie” i żołnierze przeprowadzają w Szanghaju rewolucyjne wiece i pochody. Tamże, nie tylko uczą się młodzież, lecz także robotnicy napinają swoje rewolucyjne mięśnie, prowadząc przy pomocy gazetki ściennych kampanie krytyki ponoć autorytatywnych przywódców.

Wszystko to jest, niestety, potwierdzeniem przypuszczeń, że zbliża się jeszcze jedna „rewolucja kulturalna”.

kolegów lub „wymianę wiadomości” podczas egzaminów...

Te wszystkie akty „protestu” są szeroko gloryfikowane, jako przykłady „rewolucyjnego ducha ruchu przeciwko prądowi”. Określenie to pojawiło się po raz pierwszy we wrześniu ub. roku w komentarzu „Zeminiżpao”, poświęconym bohaterowi z prowincji Liaonin. Dwa tygodnie później wypłynęło na X Zjeździe KPCh, zostało przypisane Mao Tse-tungowi i wniesione do statutu partii. Od tego czasu stało się ono przedmiotem ostrych sporów, prowadzonych na łamach chińskich gazet: „Radikalowie” i „umiarkowani” bez końca nadają mu różne interpretacje.

„Radikalowie”, którzy rzeczywiście idą „przeciwko prądowi”, objaśniają je jako wyzwanie rzucone przez mniejszość większości. Pewna gazeta posłała nawet tak daleko, iż porównała je ze słynnym hasłem, które zapoczątkowało ruch hunwejbínów w 1966 roku, a przede wszystkim z jego końcowym fragmentem: „Bunt jest sprawą słuszną”.

„Umiarkowani”, którzy jawnie nie mogą się „wyrzec” słów Mao, próbują zmniejszyć je twierdząc, iż oznaczają one, że trzeba iść tylko przeciwko błędnym prądom i że ludzie, którzy atakują postępowy nurt, na pewno „doznają klęsk i czeka ich niesławny koniec”. Niedawno „umiarkowani” umocnili swoją pozycję używając zawiłego argumentu, że „iść przeciwko prądowi” — to faktycznie oznacza tylko „dobrze przestrzegać partyjnej dyscypliny”.

W ten sposób skonstruowano już platformę dla nowej walki domowej.

Jednakże niektóre oznaki zawierają wewnętrzne sprzeczności. I tak, mimo, iż „pospolite ruszenie” przypomina dziełce lewego skrzydła, narodziło się bowiem w Szanghaju, w sztabie generalnym „radikalów”, to jednak na wiecach w Szanghaju tłumy wypływały tylko „Trzy główne zasady dyscypliny” — muzyczny wariant regulaminu wojskowego, który dźwięczy zawsze gdy kontrolę ze strony kierownictwa trzeba bardziej usztywnić.

Propagandowe starcia ostatnich miesięcy potwierdzają opinię, iż rząd Czon-En-laj jest atakowany z lewa. Przywódców ugrupowania lewego skrzydła nie wymienia się, choć z pewnością odgrywa rolę fakt, iż głosy „radikalów” zaczęły się znów rozlegać wkrótce potem, gdy do Pekinu przedostał się Wan Hun-wen, młody działacz chiński, który stał się obecnie trzecią wpływową figurą Chin. Zresztą w trakcie tej walki ujawniły się niektóre twierdzenia lewego skrzydła: prowincja Liaonin — gdzie pojawił się ów pierwszy młodociany bohater, Szanghaj — gdzie zaczęło się ukazywać nowe pismo, z którego „Zeminiżpao” czerpie zwykłe informacje o lewym skrzydle, i wreszcie sam Pekin — gdzie jedna z tamtejszych gazet rozpętała właśnie nową kampanię, skierowaną przeciwko zachodniej muzyce, a głównie przeciwko Beethovenowi.

Poniżej muzyka okazała się właściwie jedyną formą zachodniej kultury, która przeniknęła do Chin po wizycie Nixona w 1972 roku (w ub. roku koncertowała w Chinach orkiestra filharmonii londyńskiej oraz

orkiestra z Filadelfii, które wykonywały utwory Beethovena) przeto „kampania antybeethovenowska” nabiera szczególnego znaczenia. Czy można ją oceniać jako atak przeciwko rozszerzaniu kontaktów i rozładowaniu napięcia w ogóle?

Pośrednią odpowiedzią może być odwołanie, kilka dni temu, dawno już przyjętej propozycji o tournée w Chinach Orkiestry Paryskiej.

Jakie by tam cele nie przyswlecały „radikalom”, nie udało im się na razie zmienić zagranicznej polityki

KONFUCJUSZ I BEETHOVEN NA CENZUROWANYM

Chin. Staje się to jasne, jeśli spojrzeć na sprawę uwolnienia Amerykanina, który został zatrzymany podczas incydentu zbrojnego z Wietnamem Południowym w rejonie Wysp Paraskich. Jego uwolnieniu nie towarzyszyło ani jedno słówko o „imperialistycznych szpiegach i agresorach”. Jest to, być może, pomyślnym znakiem dla Zachodu. Ale może to również oznaczać, że „radikalowie” dopiero zaczęli podważać rękawy.

„France-Presse” zwraca jednak uwagę na fakt, który może świadczyć o aktywizacji „radikalów”. Niedawne wydalenie z Chin pięciu pracowników ambasady radzieckiej pod bzdurnym pretekstem „szpiegostwa”, a także gwałtowna krytyka rozpęta w ostatnich dniach pod adresem włoskiego reżysera Antonioniego za jego film pt. „Chiny” zastrzyżyły „czujność” mas. Świadczy o tym zajęcie, które miało miejsce w ubiegłym tygodniu w Pekinie z dwoma francuskimi nauczycielami z niewielkiej szkółki przy ambasadzie francuskiej w Pekinie.

Wyciągnięto ich z samochodu z dyplomatycznym oznakowaniem, ktoś z tłumy wyrwał im z rąk aparaty fotograficzne, którymi robili zdjęcia kobiet uprzątających śnieg z ulicy i dopiero po interwencji pracowników organów bezpieczeństwa tłum, biorąc Francuzów za „radzieckich szpiegów”, pozwolił im odjechać w towarzystwie agentów. Czyżby nie stali za tym „radikalowie”?

JERZY CZECH

- ★ Mniejszościowy rząd Goldy Meir
- ★ Rozmowy, które przeczą pesymizmowi
- ★ Większość — za nadzwyczajną sesją ONZ
- ★ Kronika polskiej aktywności

Sytuacja na Bliskim Wschodzie rozwija się — jak dotąd — pomyślnie. Rozdzielenie wojsk na linii egipsko-izraelskiej przebiegało planowo i właściwie bez zakłóceń. Koniec ub. tygodnia przyniósł wiadomość, że wojska izraelskie całkowicie już opuściły zachodni brzeg Kanału Sueskiego. Zakończył się zatem czwarty etap realizacji porozumienia.

Teraz — kolejnym krokiem na drodze pokojowego uregulowania konfliktu mogłoby być porozumienie o rozdzieleniu wojsk na froncie syryjsko-izraelskim. Próg trudności polega jednak na tym, że Tel Awiw nie chce przyrzec wycofania się w określonym terminie z wszystkich okupowanych terytoriów syryjskich. Misję mediacyjną w tej sprawie prowadzi Henry Kissinger, który właśnie przebywa na Bliskim Wschodzie.

Uwaga obserwatorów koncentruje się nie tylko na omówionych zagadnieniach, lecz również na sytuacji wewnętrznej w Izraelu.

Jak wiadomo, ostatnie wybory osłabiły pozycję partii Goldy Meir. Tak zwany Front Pracy dysponuje teraz 51 mandatami w 120-osobowym parlamencie. Mimo to Golda Meir zdecydowała się na utworzenie nowego rządu, który wspierany będzie spoza jej partii tylko przez 7 deputowanych. Meir liczy bowiem na to, że szybko uda się usu-

nąć rozbieżności z Narodową Partią Religijną (10 mandatów) i w ten sposób zapewnić łącznie 68 głosów. W chwili, gdy piszemy o tym, nie ma jednak żadnej pewności, że tak się stanie.

Komentatorzy zachodni podkreślają, że mniejszościowy rząd izraelski może wprawdzie liczyć na wsparcie innych partii w sprawie rokowań z krajami arabskimi, ale nie na rozstrzygnięcie problemów wewnętrznych. Nowa sytuacja jest więc tak złożona, jak nigdy dotąd. Izrael będzie miał niepewny rząd.

Z problematyki bliskowschodniej zanotujemy jeszcze serię posiedzeń w Damaszku, na których Organizacja Wyzwolenia Palestyny dyskutowała, jakie stanowisko w sprawie utworzenia państwa Arabów palestyńskich powinien zająć ruch oporu.

Jak wiadomo — ruch palestyński nie jest jednolity. Choć obecnie przeważa opinia, że państwo to mogłoby powstać na zachodnim brzegu Jordani (Cisjordania) i w strefie Gazy — nie wszystkie organizacje palestyńskie zadowolają się tym rozwiązaniem. Myślą one o terytorium całej Palestyny, państwa, które zniknęło z mapy w chwili powstania Izraela.

W palestyńskim ruchu, w którym nie brak ugrupowań i organizacji ekstremistycznych, jak np. „Czarny

Wrzesień”, działających jednak poza Organizacją Wyzwolenia, kształtuje się ostatnio racjonalny pogląd na rozwiązanie problemu narodowego.

Wydarzeniem ostatnich dni były rozmowy min. A. Gromyki w Paryżu i Rzymie. Pierwszą z nich przygotowywała wizyta prez. Pompidou w Związku Radzieckim (będzie to już piąta runda rozmów przywódców ZSRR i Francji), druga — służyła przeglądowi stosunków radziecko-włoskich. Oczywiście — nie ominięto tematyki międzynarodowej. Z końcowego komunikatu wiemy, że szczególną uwagę poświęcono Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy, stwierdzając, iż obie strony dołożą starań, aby pomyślnie zakończyć ją w jak najkrótszym czasie. W sprawie Bliskiego Wschodu skonstatowano natomiast zbliżność stanowisk.

Rozmowy na linii Moskwa — Paryż i Moskwa — Rzym zaprzeczają sądowi, upowszechnianemu ostatnio przez niektórych zachodnich publicystów, że kryzys paliwowo-surowcowy w świetle kapitalistycznym odwraca jego zainteresowanie od pogłębiania procesów odprężania. To prawda, że Zachód ma obecnie wiele kłopotów i że w niektórych krajach sytuacja zarysowuje się wręcz kryzysowa. Prawda jest również i to, że dla przeciwników łagodzenia napięcia dobra jest każda okazja, aby utrudniać między-narodową, pokojową współpracę. Ożywił się więc i obecnie. Ale, na szczęście, już nie oni nadają ton polityce państw zachodnich.

Wspomnieliśmy przed chwilą o kryzysie paliwowo-surowcowym. Z tematem tym łączy się — przypom-

niemy raz jeszcze — inicjatywa grupy krajów niezaangażowanych, przedstawiona przez Algierię, zwolnienia nadzwyczajnej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Jeden z poprzednich komentarzy, w którym omawialiśmy tę inicjatywę i wyjaśnialiśmy procedurę zwolnienia takiej sesji, zakończyliśmy słowami: „Czy więc już wkrótce zbiorą się państwa członkowskie na nadzwyczajnej sesji?”. Dziś na to pytanie możemy już dać odpowiedź potwierdzającą. Tak — 104 państw opowiedziało się za propozycją niezaangażowanych — sesja zostanie zatem zwolniona. Najprawdopodobniej rozpocznie się 7 kwietnia.

Można przewidywać, że będzie to jedna z ciekawszych debat, w czasie której zderzą się interesy różnych państw. Dostawcy surowców z pewnością wystąpią solidarnie, natomiast odbiorcy, jak choćby wskazują na to omawiana w ub. tygodniu waszyngtońska konferencja 13 państw zachodnich, mają często rozbieżne interesy.

Przegląd wydarzeń na arenie międzynarodowej zakończmy wpisaniem do kroniki polskiej aktywności wizyt w Warszawie: mongolskiego ministra Spraw Zagranicznych — L. Rinczina, ministra Spraw Zagranicznych Finlandii — A. Karjalainena, a także przewodniczącego Niemieckiej Partii Komunistycznej (DKP) — H. Miesa. Właściwie w ub. tygodniu nie było ani dnia, w którym prasa nie pisała by o rozmowach z naszymi gośćmi w Warszawie lub o wizytach, składanych przez nas w innych krajach.

WITOLD ŚLĄWSKI

ZDARZENIA ZWIERZENIA?

Lódzki „Empik” pamiętam jeszcze z czasów, gdy rezydował przy ul. Piotrkowskiej — tam, gdzie dziś jest kiermasz plastyków oraz na pierwszym piętrze, gdzie odbywały się odczyty i spotkania literackie. Tam właśnie miałem swój pierwszy w życiu występ jako młody poeta, tuż po wydaniu pierwszego tomu, a zatem był to rok 1959.

Jeśli dziś „Empik” obchodzi swoje 25-lecie, to nie mogę zapomnieć, że przecież patronował on debiutowi mojego pokolenia. Nie wiem, czy z okazji jubileuszu padły nazwiska zasłużonych dla Klubu dyrektorów z lat ubiegłych. Pewno nie, bowiem bardzo łatwo zapomniamy o ludziach, którzy coś sensownego, zdziałali już odeszli. A zatem wersalikami powinienem wybić w tym felietonie nazwisko, dyrektora FUKSA. Niech przynajmniej w

EMPIK-OTWARTA BRAMA

ten sposób upamiętni się działalność człowieka, który z Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki zrobił pierwszą w Łodzi placówkę kulturalną z prawdziwego zdarzenia.

Do dziś pracują w „Empiku” ludzie, którzy byli u początków tej placówki. I ich nazwiska godzi się wymienić. A zatem Irena Urbńska (24 lata pracy), Czesława Czaja (24 lata pracy), Anna Przybył (21 lat pracy), Jadwiga Dziubaltowska (18 lat pracy).

Lódzki „Empik” prowadzi działalność wszechstronną i szeroką. Tak to się pisze sprawozdawczo-rocznicowym stylem. Ale za tym stereotypowym zwrotem kryje się istotnie bardzo wiele.

Ostatnio bardzo dużą popularność zyskały tematyczne koncerty poetyckie z udziałem łódzkich pisarzy i aktorów. Były już koncerty z tematem

„Wojsko”, „Poezja radziecka”, „Łódź” — szykuje się koncert „Tysiąc i jedna fraszka”. Dalej — języki obce, bo przecież przymiotnik Międzynarodowy do czegoś obowiązujący. Kursy KMPiK mają opinię najlepszych — nie dziwnego, że aktualnie pracuje ponad siedemdziesiąt grup językowych, w których uczy się 1600 osób. Natomiast ukończyło kursy językowe „Empiku” ponad 11 tysięcy osób.

Popularne są także poniedziałkowe spotkania „z łódką w herbie”, na których o problemach naszego miasta mówią przedstawiciele władz, społecznicy, ludzie nauki. Dużą frekwencją cieszą się także popremierowe spotkania z Teatrem Wielkim, cykl „Wybitni artyści PRL”, a także wystawy malarstwa, grafiki, rzeźby, ekslibrisu, fotografii.

Nie obejdzie się bez cyfr,

choć felieton (a i czytelnik zapewne też) bardzo tego nie lubi. Otóż „Empik” dysponuje prasą z całego świata — w czytelni mamy 410 czasopism w 20 językach, m. in. rosyjskim, francuskim, angielskim, niemieckim, hiszpańskim, a także duńskim, arabskim czy fińskim.

W księgarni „Empiku” znajduje się około czterech tysięcy książek obojętnych.

Ktoś nazwał kiedyś Kluby Międzynarodowej Książki i Prasy — oknem na świat. Porównanie jest zresztą niepełne. „Empik” to wielka, otwarta brama na cały świat. Te specyficzne, oryginalne i chyba jedyne na świecie tego typu placówki kulturalne przyciągają nam świat — jego kulturę, naukę, politykę.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



LEWYM
OKIEM

SOKOLNICTWO ODŻYŁO!

„Rano, wieczór, co dzień zmyję białe lica, białą szyję, by młodemu menu było zawsze słodko, lubo, miło”

— pisał Józef Bohdan Zaleski sto pięćdziesiąt lat temu w swoich „wiosniakach”, z czego można by wnioskować, że ówczesne dziewczę myły się tylko po to, żeby chłopakom było lubo. Nieważny jednak powód czy pretekst: ważne, że się myły i to trzy razy dziennie, chociaż nie ciurkała im w każdej chwili gorąca woda z kranu, nie było na każdym rogu sklepu ze stertą pachnących i nieładnie rozmaitych kosmetyków, mydelek, kremików i smietanek.

Na parę lat przed ostatnią wojną ogłosił Jerzy Paczkowski swą słynną do dzisiaj frazję — „Refleksję patrioty”:

„Są dwa poważne powody, dla których Polska mi zbrzydła: za dużo święconej wody, za mało zwykłego mydła”.

Przed paroma miesiącami wyzytałem dosłownie w „POLITYCE”: „...statystyczny Polak raz na cztery lata kupuje szczoteczkę do zębów, a raz na półtora roku tubkę pasty do zębów”. Jeśli chodzi o szczoteczkę — wypada tylko przyklasnąć ich trwałości, stawiającej niewątpliwie osiągnięcie naszego szczoteczkarskiego przemysłu. Ale jedna tubka pasty na pół roku? Czy nie nadmierna oszczędność naszych obywateli? Oszczędność oczywiście rzecz chwalebna, ale jesteśmy pewni, że leczenie i rwanie zębów kosztuje więcej niż niedopuszczenie do rwania, czyli po prostu — mycie zębów.

Ten głupi temat może nawet byłby wstydliwy, gdyby nie to, że przecież nie ma już wstydu, jest tylko pruderia. Skoro pruderia nazwalibyśmy dzisiaj wstydliwą dyskrecję

wokół, na przykład, rozmaitych aberracji seksualnych, to niech nikt nie żąda przemilczania spraw łazienkowych a nawet, excusez le mot, wychodkowych. To są sprawy ważniejsze niż egzotyczne upodobania meksykańskie i nie podzielałyśmy świętego oburzenia ówczesnego pięknołubstwa, który na zebraniu w pewnym domu akademickim, gdy studentki skarżyły się na skandaliczny stan urządzeń higienicznych, rozdarł z patosem szaty: „czy w tej sali, w której gościliśmy kosmonautów, mamy dyskutować o wychodkach?”.

A właśnie, że mamy! Chcemy również wszyscy mieć zdrowe i ładne zęby, chcemy też, żeby te miejsca, z których zawsze będziemy musieli kilka razy dziennie korzystać były miejscami dla ludzi kulturalnych, czystych i wybrednych.

Tymczasem zaś cieszymy się, bo „sokolnictwo polskie po długiej przerwie zreaktywowano”. Już 30 ułożonych ptaków znajduje się w kraju. „Ułożony ptak” to taki smutny, oklapły sokół z kapturem na głowie, oślepiającym go kalkowicie, z łańcuszkiem na nodze, przykuwającym ślepa do drążka lub do ręki dzielnego sokolnika. Co ma robić ślepy, przykutą tubkę pasty do zębów? Nic. Nie może się przecieć w ogóle ruszyć. Czasem tylko zwolni go na chwilę, zdejmą przepaskę z oczu — wtedy podrywa się do lotu, spada z góry na biegnącego zająca i tłucze go dziobem po głowie, dopóki nie zatlucze. Po czym sokolnik zabiera zająca, a sokół wraca na drążek, bo jest ułożony.

Poza tym można jeszcze „ułożyć” psa do tarmoszenia kotów, kota do aportowania cudzych kurcząt i delfina do podkładania min pod łodzie podwodne. Ale o tym już innym razem. Myjcie zęby!

ĆWIEK

Motoryzacja niszczy człowieka. Gdyby nie samochody i motocykle, i towarzyszące im bez przerwy kobiece usta (z papierosem lub bez) życie byłoby zupełnie inne, trwałoby dłużej i w ogóle świat wyglądałby inaczej. A tak — nie czeka nas nic dobrego.

Pesymizm Jerzego Mazusia jest jednakże pesymizmem mężczyzny. Zło jest, więc ze złem trzeba walczyć. Więc Jerzy Mazus walczy orzechem swej sztuki, rysując owo zło. A wiadomo przecież, jak wygląda zło narysowane...

Są tacy, którzy twierdzą, że można być czymś na byle czym, na przykład palcem na piasku, albo patykami na wodzie zrobionymi arcydziełami sztuki. Nie będę się spierał o narzędzia, środki i metody. Wiem natomiast, że istnieje jedno narzędzie, którego w sztuce używać nie należy. Tym narzędziem jest łopata. I jest styl, którego uprawiać nie należy — tym stylem jest łopatologia.

A. GRUN

ZNÓW W SZKOLNEJ ŁAWIE

Bardzo lubię chodzić na wywiadówki. Wywołuje to u mnie wrażenie powrotu do lat szkolnych, ale bez przykrych dla tego okresu konsekwencji. Człowiek znów jest w szkole i nie boli się, że nauczyciel wyrwie go do tablicy i każe recytować twierdzenie Pitagorasa.

Ostatnio nie miałam okazji chodzić na wywiadówki, aż tu nagle przyjaciół przyszedł z radością nowina.

— Muszę nagle wyjechać służbowo za granicę.
— Szczęśliwej podróży.
— Dziękuję. Ale mam do ciebie prośbę.

— Mieszkania popilnować?
— Nie. Pójść do szkoły na wywiadówkę. Chłopak dobrze się uczy. Nie będziesz miał kłopotów. Powiesz, że jesteś jego wujkiem.

Zgodziłem się z przyjemnością. Znowu będę siedział w szkolnej ławie i nikt mnie nie wywoła do tablicy, nikt niczego nie będzie chciał mnie nauczyć.

Pomyliłem się. Najpierw bowiem zaaplikowano nam pogadankę na pedagogiczne tematy. Doświadczony nauczyciel uswiadamił nas, ile to młodzieży zostaje na drugi rok. Zasympał danymi, ale nie potrafił odpowiedzieć ani sobie, ani nam na proste pytanie: dlaczego tak jest? Następnie szeroko rozwoził się nad tym, jak to uczeń badał młodzież, zadając jej pytanie: dlaczego się uczą?

Jest to — jak się okazało — pytanie bardzo przewrotne. Chodzi w nim bowiem nie o motyw otrzymania dobrych ocen, a jedynie o powód uczęszczania do szkoły. W wyniku przeprowadzonych ankiet wśród młodzieży uczeni dowiedli, że młodzi ludzie chodzą do szkoły z różnych powodów. A więc kieruje nimi ambicja, konwensans, bo tak wypada, skoro inni też chodzą, chęć dowiedzenia się czegoś ciekawego, zaintereso-

sowanie i wreszcie — chęć zostania kimś.

Ta ostatnia odpowiedź najbardziej przypadła mi do gustu, bo jest jednak najbliższa prawdy. Chociaż długi czas byłam przekonana, że młodzi ludzie dlatego chodzą do szkoły, bo ich rodzice tam posyła. Nie wiem, dlaczego ten najprostszy fakt uszedł uwadze uczonych. Widać rzeczy najprostsze najtrudniej jest dostrzec.

Potem rozeszliśmy się po klasach. I tu spotkało mnie następne zaskoczenie. Okazało się, że dziś nie wystarczy już tylko dobrze uczyć się. Trzeba jeszcze brać udział w pracach społecznie użytecznych, wykazywać wysoką kulturę osobistą i zachowywać się. Dopiero to wszystko razem przeliczone na punkty decyduje o miejscu ucznia w ogólnej klasyfikacji. Wszystko to — razem — wzięte, przeliczone na punkty — poukładane, posegregowane, posufladkowane. Współczułem mu nawet trochę, bo przypomniał mi bardziej sportowego sędziego, który ustala klasyfikację w ligowej tabeli niż klasowego wychowawcę. Sam zresztą oświadczył z odrobiną kolektelery, że lubi bawić się w księgowego, bo to pozwala mu być maksymalnie obiektywnym.

Nie mam zamiaru oceniać tego systemu klasyfikacji, ani też wtrącać się do wewnętrznych spraw szkoły, choć jest to instytucja społeczna w swojej naturze i społeczeństwo nie może być obojętne, jakich ona przygotowuje obywateli. Wiem też, że nauczyciele są niezwykle drażliwi na punkcie swego autorytetu i gotowi każdą uwagę traktować jako próbę podważenia tego autorytetu. Poza tym nowy system klasyfikacji dopiero wchodzi w życie i byłoby ogromną nieostrożnością sądzić o nim jakiegokolwiek sądy. Tym bardziej, że interesuje

mnie zupełnie inny problem.

Wydaje mi się, że stoimy wobec interesującego paradoksu, który polega na tym, że jako społeczeństwo wchodzimy w epokę rewolucji naukowo-technicznej, kiedy to niemal z każdym dniem rośnie cena wiedzy, ale to ogólne założenie — niestety — nie zostało jeszcze w sposób wystarczający doprowadzone do społecznej świadomości. Telewizja coraz to pokazuje szkoły tak zmodernizowane i zmechanizowane, że przerażenie ogarnia człowieka. Jest to jednak model szkoły nowoczesnej, gdzie już nie tylko telewizja, aparat projekcyjny, magnetofon, radio, ale i bardziej skomplikowane urządzenia stały się pomocami naukowymi. A jednocześnie młodzi ludzie i to nie tylko ze szkoły średniej, ale i szkół wyższych za nic mają sobie naukę, nadal hołdują dewizie, aby tylko jakoś przebrnąć, aby przejść z klasy do klasy, zdać egzamin i mieć z głowy ten dopust boży. Nie dla wszystkich uświadomiona konieczność stała się niezbędność posiadania określonej wiedzy, zrozumienie, że od tego zależy już nie tylko ich los, ale i los całego społeczeństwa.

Można oczywiście wziąć pas do ręki, złożyć skórę tym, którzy uczą się nie chcą. Można wygłaszać rodzicom pogadanki na pedagogiczne tematy, uswiadamić ich w tym, że ponoszą za to przynajmniej część winy. Ale obie metody są gorsze. Cóż więc robić?

W poszczególnych przypadkach nie rezygnować z żadnej metody, jeśli może ona dać pozytywne rezultaty. Generalnie jednak trzeba dążyć do wytworzenia szacunku dla wiedzy, dla umiejętności zdobytych nieraz z móżdżem i samozaparciem. Trzeba starać się jak najszerszej doprowadzić do społecznej świadomości przekonanie, że w nadchodzącym XXI wieku liczyć się będzie tylko takie społeczeństwo, które będzie się składało z wykształconych jednostek.

Szkola jest — niestety — takim organizmem, który tym sprawniej pracuje, im mniej się jest rozdźwięk między idea-

mi a znaleźć się w objęciach całunu.

Odkryłem także, dzięki Jerzemu Mazusowi, pewne zależności między kobietą w biuśtonoszu (przezroczystym), z rozkrzyżowanymi ramionami, a odrzutowym samolotem (być może, że jest to bombowiec). Owe związki są wielopłaszczyznowe, i tu Jerzy Mazus dał dowód, że jego informacje nie są zawsze są jednoznaczne, że czasami można je interpretować wielorako. Ponieważ Jerzy Mazus uprawia sztukę, owa swodoba interpretacji, jaką pozostawia on czasami odbiorcy, jest niezwykle cenna. Jest wykładnikiem głębi przemysłu twórcy i oczywistym dowodem jego zaufania i wiary w intelektualne predyspozycje odbiorcy.

Jerzy Mazus nie chce jednak odbiorcy eksploatować nadmiernie. Tam, gdzie może dać mu informację jednoznaczna, pełna, wyczerpująca — chętnie mu ją daje. Sam się trudzi, nie chcąc trudzić nas. Dlatego właśnie w sztuce Jerzego Mazusia czyta się jak w elementarzu.

Jerzego Mazusia dręczy obsesja. Jest to obsesja jedna, ale bardzo dołuczliwa. Jest to obsesja motoryzacji. Motoryzacja zagraża człowiekowi.

TO JEST AS A TO LIS

1. Obejrzawszy wystawę grafiki Jerzego Mazusia poczułem się oto wyraźnie wzbogaceni o nowe wartości i nowe treści. Poczułem, że COS CZYMS się we mnie napelniało i dopełniało, i że miejscami to COS z tego CZEGOS nawet się z nadmiaru przelewa i że chętnie, że właściwie jest to moim najgłębszym pragnieniem, a nawet poniekąd obowiązkiem, obdarzyłbym tym CZYMS innych. Ogrom wiedzy, jaki przekazał mi Jerzy Mazus o świecie, w którym żyje, wchłonałem w siebie, zamknąłem w sobie, mam i noszę. I dzięki niej, to znaczy dzięki tej wiedzy, patrzę na ów świat już inaczej i dostrzegam rzeczy, których pierwiej nie dostrzegałem, ba, nie przeczuwałem nawet: i kojarzę sobie obecnie o wiele lepiej niż kojarzyłem sobie przedtem i odkrywałem zależności, związki, przyczyny i skutki, których bez sztuki Jerzego Mazusia nie odkryłbym nigdy.

2. Co wiem nowego? Otóż wiem na przykład, że

gdy człowiek chce się wybrać w daleką wędrowkę, potrzebne mu są buty.

I wiem także, że buty te, jeżeli człowiek będzie w nich wędrował, to po pewnym czasie się zniszczą, choćby były najmocniejsze. Ich niszczenie będzie proporcjonalne do stanu drogi, jaką wędrujący wybierze: gdy będzie ona gładka, łatwa, buty wystarczą na dłużej, gdy będzie kamienista, trudna zatem — buty zderzą się szybko. Dowiedziałem się tego wszystkiego z linorytu „Odyseja”.

Co wiem jeszcze? Wiem, że po to, aby otrzymać dobre plony z hektara, trzeba ziemię odpowiednio przygotować i wzbogacić, a już zaościć trzeba na pewno. Tego dowiedziałem się z linorytu „Obfitość”.

Czego jeszcze dowiedziałem się nowego?

Otóż dowiedziałem się jeszcze, że kobiety o długich, wypielęgnowanych paznokciach, o palcach zdobnych w pierścionki, w kapeluszykach, bardzo chętnie oglądają wysiłek konne przez lornetki. O tym fakcie

poinformował mnie Jerzy Mazus za pośrednictwem linorytu „Ruszyli”.

Czy Jerzy Mazus poinformował mnie jeszcze o czymś?

Oczywiście! Poinformował mnie, że na uyspaskach śmieci, gdzieś za miastem można znaleźć perforowane taśmy z maszyn elektronowych. Jest to informacja cenna, bowiem tak jak wszyscy, szukamy wokół śladów nowoczesności, zaszyczaj nadaremnie, a teraz wiem, że wystarczy udać się tam, gdzie wywożą odpadki śmieci i już się na ten świat nowoczesności trafi. I pomyśleć, że tak długo trzeba było czekać na tak prostą informację. Gdyby nie wystawa Jerzego Mazusia w Salonie Sztuki Nowoczesnej na Piotrkowskiej, kto wie, ile byśmy jeszcze czekali.

Czy dowiedziałem się jeszcze czegoś nowego ponadto? Naturalnie. Dowiedziałem się, że istnieją pewne zależności między dużą ilością żołnierskich hełmów, a małym dzieckiem w ramionach matki.

Dowiedziałem się, że uciekając motocyklem z kraju szczęśliwego dzieciństwa, w którym życie upływa na nieustannych kąpielach w basenie, z nadmierną szybkością, łatwo moż-

MAGAZYNEK

MATERIAŁY DO CIEKAWYCH ROZWAŻAŃ TEORETYCZNYCH

W wolnych chwilach zastanówmy się wreszcie nad następującymi problemami:

Dlaczego, do cholery, na sali kinowej musi być koniecznie ciemno? Co tam naprawdę jest w środku telewizora? Czemu chce się wesoło, a wychodzi smutno, a jak chce się smutno, to nie wychodzi wesoło? Kto wymyślił bilet kinowy? Czy napis „KONIEC” nie jest ordynarny? Dlaczego jak się całują, to zawsze ktoś na sali omoknie? Czy kasjerka też kochać potrafi? Być może nam uda się znaleźć odpowiedź. A jeśli nie uda się, to trudno. Kiedyś na pewno znajdzie się taki i wszystko nam wyjaśni.

PIONERSKI TEMAT

W Australii nakręcono po raz pierwszy na świecie piękny film z życia szachistów. Mądry twórca filmu potraktował szachistów jak normalnych ludzi, którzy chcą czegoś, kochają się, cierpią, jedzą zupy, itd. Sprawia to podobno wstrząsające wrażenie.

TROCHĘ DOBREJ WOLI

Statystycy naukowcy stwierdzili ostatnio, że gdyby osoby wygrywające milion w totolotka, żyły po otrzymaniu wy-



granej tylko trochę mniej rozrzutnie, to w każdym mieście wojewódzkim byłaby już przynajmniej jedna wytwórnia filmowa.

WSTRZĄSAJĄCE PORÓWNANIE

Jeżeli postawić obok siebie dwóch aktorów filmowych: polskiego i amerykańskiego, to zaraz zauważy się dużą różnicę. Aktor amerykański jest może nieco większy i ładniejszy, ale za to aktor polski jest weselszy. Gdy natomiast

postawić obok siebie aktorki i gotuje bardzo smacznie i co najważniejsze — zdrowo.

Z OSTATNIEJ CHWILI

W Anglii znowu mają kłopoty. W zeszłym tygodniu kilka osób rozmyśliło się w ostatniej chwili i nie poszło do kina. W Japonii natomiast w związku z kryzysem, coraz trudniej o dobrego samuraja. Korzystają więc zmuszeni sytuacją z kiepskich, ale wiadomo, z kiepskiego samuraja cała prawda wychodzi już w podskoku.

PROWINCJONALNE CIEKAWOSTKI

Koło Nowej Soli żyje Janek Głowacz. Wszyscy bardzo go lubią, bo cicho mówi i jest uczuciowy. Niestety, nie nadaje się zupełnie do kina, gdyż głową swoją zasłania wszystkim ekran. Ostatnio harcerze przyrzekli zająć się nim nieco energiczniej. W Zduńskiej Woli mieszka sobie natomiast ciekawy starzec. Za drobną opłatą wskazuje on zainteresowanym reżyserom, jaki jeszcze utwór Henryka Sienkiewicza można przenieść na ekran filmowy.

Chlubą Maciejowic jest miejscowy bileter, który potrafi za jednym zamachem przeдрzeć pięć biletów kinowych. Nie sposób nie wspomnieć tu również o gospodyni domowej ze Smardzewa nad Wartą. Na filmie się ona nie

zna, do kina nie chodzi, ale gotuje bardzo smacznie i co najważniejsze — zdrowo.

NIEPOKOJĄCE ZJAWISKO

Zauważono ostatnio, że bywalcy Gospod Ludowych zapewne pod wpływem obejrzanego ostatnio westernu, coraz częściej strzelają do siebie, używając w tym celu buletek od szampana.

NOWA FALA

Ciekawą nowość zastosował w swoim filmie pewien francuski reżyser młodofalowy. Aktor, grający w tym filmie Napoleona będzie nieco wyższy niż zwykle, w związku z czym znacznie obniży się pania Walewska.

CZARNA NOWINA

Spółdzielnia Mleczarska „Pierś Matczyna” ze Zgierza podjęła wreszcie produkcję czarnego twarożku, który powaga swego koloru pasować będzie do wnętrza sal kinowych.

SYMFONIA SZYN

Pierwsze w Polsce kino kolejowe zaistniało na trasie Łódź-Fabryczna — Warszawa Centralna. Zastosowano nowe i ciekawe rozwiązanie. Kino jedzie po drugim torze tak, że program można oglądać bezpośrednio z okien własnego przedziału. Gdy pociąg nasz na trudnej tej trasie ma opóźnienie, kino zwalnia również.

POWIĘKSZENIA

SZYFRA

W „Życiu Warszawy” ukazało się następujące zawiadomienie: „Ośrodek Doskonalenia Kadr SIMP w Warszawie (...) zawiadamia, że przyjmuje zgłoszenia na (...) 8-tygodniowy, II-etapowy kurs dla projektantów systemu APD. Szczegółowych informacji udziela Dział Szkolenia ODK SIMP...”

ZGL NU W 3E II K?

KONIEC DOWCIPU

W rubryce „Małe kino” drukowaliśmy niedawno zabawny parodię serialu „Czarne chmury” reżyserowanego przez Andrzeja Konica. Parodia kończyła się słowem: „Koniec”. Oczywiście wydrukowano!

Początkowo czyniliśmy sobie wyrzuty, że owej pointy nie zapatrzyliśmy w adnotację: „Uwaga, żart, kalambur”. Ale — jak uczucie doświadczenie — w druku na pewno znalazłaby się ta adnotacja, jeszcze skuteczniej mordując dowcip.

Pisał już o tym kiedyś Antoni Słonimski, który przypisał: „Uwaga, żart, kalambur” opatrzył żart na temat Kadena. Słonimski napisał: „Kaden, ten wieczny kadendydat do Akademii”. W gazecie czytelnicy zobaczyli taki tekst: „Kaden — ten wieczny kadendydat do Akademii — uwaga, żart, kalambur”. Na obronę korektora trzeba dodać, że puszczając błąd w słowie „Akademia” (Akademia) — poprawił, a w każdym razie poszerzył dowcip Słonimskiego.

A swoją drogą ciekaw jestem, jak ten tekst wyglądał będzie w „Odgłosach”.

TYTUŁ Z ROZNA

„W zanadru różna lub szaszlika” — donosi „Głos Robotniczy”. Okazuje się — szaszлык i różen ma zanadru. A może to ktoś ma „różna i szaszlika” w zanadru? Nie wiadomo dokładnie.

CO BY NALEŻAŁO

Dziennik Telewizyjny w swoim stałym cyklu prezentuje plansze z napisem: „Należałoby, żeby żona”, „Należałoby, żeby mąż”. Nie wiemy o co chodzi — uważamy, że 12 należałoby, żeby i mąż i żona i Telewizja pisali poprawnie.

CIEKAWSKI

JOD z „Kameny” ma poczucie humoru, że dał Boże zdrowie. Zartobliwą rubryczkę „Małe kino” czyta jak „Historię sztuki filmowej”. Czepia się mianowicie, że odpowiedź na pytanie, czy reżyserzy żyją z aktorami jest nieprecyzyjna. A jaka — przepraszam — ma być? O adresy JOD-owi chodzi, o nazwiska?

NOWOŚCI RECENZENCKIE

Z omówienia wystawy karykatur Iłsa-Gratkowskiego, publikowanego w „Expressie” dowiedzieliśmy się, że:
a. Zbyszek Cybulski miał na imię... Andrzej
b. Konstanty Mackiewicz jest... malarzem batalistą.
Same ciekawostki.

SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE



Z wystawy „VENUS” — fot. S. Bednarzik

BOHUMIL HRABAL

POCIĄGI POD SPECJALNYM NADZOREM

— Nazywam się Miłosz Pipka — wyjąkałem. — Wie pani, ja sobie poderżnąłem żyły, bo cierpię na ejakulację prekoks. Ale to nie prawda. Wprawdzie zwiądnęłam przy mojej dziewczynie jak lilja, ale między nami mówiąc jestem naprawdę mężczyzną.

— A więc pan nie miał jeszcze żadnej dziewczyny? — zdziwiła się Wiktoria.

— Nie miałem, próbowałem tylko... i dlatego, niech mi pani poradzi, bardzo proszę...

— Naprawdę nie miał pan jeszcze żadnej? — dziwiła się coraz bardziej.

— Żadnej, bo Masza, jak wtedy weszła do mojego łóżka u wujka Nonemanna w Karlín, Maszę wprawdzie miałem przy sobie, ale nie mi z nią nie wyszło, bo — jak powiedziałem — zwiądnęłam jak lilja...

— A więc pan naprawdę nie miał jeszcze żadnej — powiedziała i uśmiechnęła się, i miała doleczki — takie same jak Masza, i oczy jej zlagodniały, jakby zdziwiło ją jakieś nieoczekiwane szczęście albo jakby znalazła jakiś bardzo cenny przedmiot, i zaczęła dotykać palcami moich włosów, jak bym był fortepianem, a potem spojrziała na zamknięte drzwi do kancelarii dyżurnego ruchu i pochyliła się nad stołem, skrzyła kont i głośnym dmuchnięciem zgasła lampę, znalazła mnie po omacku i zaczęła się ze mną czołać w stronę kanapy pana zawiadowcy, i położyła się, i pociągnęła mnie na siebie, a potem była dla mnie czuła, tak jak mama, kiedy byłem mały, a mamusia mnie ubierała albo rozbierała, pozwoliła mi, abym jej

pomógł podnieść spódnice, po czym czulem, jak uniosła się i rozchyliła nogi, położyła te swoje tyrolskie buty na kanapie pana zawiadowcy, i nagle byłem z Wiktoria zlepięty, tak jak byłem zlepięty na fotografii w marynarskim ubranku, z fotografią Maszy, i ogrzało mnie światło, które wzmagało się nieustannie, wciąż wspinałem się w górę, cała ziemia drżała, rozlegało się dudnienie i grzmoty, miałem wrażenie, że dźwięki te nie dobiegają ani ze mnie, ani z ciała Wiktorii, ale z zewnątrz, że cały budynek drży w psadach, brzęczą szyby, słyszałem, że na czesie tego mojego triumfalnego wjazdu w życie rozdzwoniły się nawet telefony, że telegrafy ni stąd, ni zowąd zaczęły wygrywać znaki Morse’a tak jak się to działo w kancelariach dyżurnych ruchu podczas burzy, wydawało mi się nawet, że gołębie pana zawiadowcy gruchają wszystkie bez wyjątku, że i horyzont unosił się nieco, by zapłonąć barwami ognia, że budynek stacji zadrżał teraz znowu, że zakolysał się lekko w psadach...

A potem czulem, jak ciało Wiktorii Freie wygięło się w łuk, słyszałem, jak jej okute buty wryły się w ceratę kanapy, słyszałem, jak cerata drze się, drze nieustannie, i skądś z paznokci rąk i nóg zbiega mi do mózgu olśniewający dreszcz, wszystko nagle stało się białe, potem szare, potem brudne, jakby spadający strumień gorącej wody przemieniał się w zimny, i w kregosłupie poczułem przynajmniej ból, jakby mi ktoś wbił weń hak mararski.

Otworzyłem oczy. Wiktoria wciąż jeszcze miała palce w moich włosach i oddychała ciężko, ja zaś widziałem przez szparę w oknie, jak nad horyzontem wznosił się czerwono-brzozytynowa barwa odległego pożaru, jakby błyskało się na pogodę. A gołębie pana zawiadowcy gruchały niespokojnie, latały po gołębniku, uderzały o ściany i sufit i padały na ziemię, łukując przerażonymi skrzydłami.

(Fragment)

Przełożył: ANDRZEJ PIOTROWSKI

Bohumil Hrabal — wybitny, współczesny pisarz czeski. Według jego mikropowieści „Pociągi pod specjalnym nadzorem” zrealizowano głośny film. Ponadto w języku polskim ukazały się trzy jego opowiadania: „Lekcja tańca dla starszych i zaawansowanych” oraz „Bar-Swiat”.



Łódź, Pl. Niepodległości 4

„Universal”

ZAPRASZAMY!

ARTYKUŁÓW WIOSENNYCH

PRZYGOTOWAŁ
DUŻY WYBÓR

„Universal”

HANDLOWY

DOM

„UNIVERSALU”

Z

ODZIEŻ

TO

JASKÓŁKI WIOŚNY

PIERWSZE

1146/7c

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch” — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odełosy”. Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch”, Łódź ul. A. Czerwonej 28 Zam. 347. C-4. Nr indeksu 37006